Nr. 31 (1179). Warszawa, dnia 19 Lipca (1 Sierpnia) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Początek sądu.

Po śmierci każdego a zwłaszcza rozsławionego człowieka stają natychmiast przy jego grobie trzy najczynniejsze muzy życia: anegdota, chwalba i krytyka. Przy Leonie XIII zjawiły się one jeszcze przed jego odwlekłym zgonem i — jak zwykle — dwie pierwsze nie zamykały ani na chwilę swych ust wymownych. Co tylko zmyśleć może wyobraźnia dziennikarskich reporterów, wyczekujących na „sensacyjną wiadomość“ pode drzwiami Watykanu, ile tylko wykłamać zdolna gorliwość sług mocnego pana i podpór wysokiego urzędu, wszystko to przepłynęło przez kolumny prasy. Dziewięćdziesięcioletni starzec „zdumiewał młodzieńczą energią,“ chory, z temperaturą świeżego trupa, duszony nieustannie obfitym wysiękiem opłucnej, zapadający w omdlenia i pogrążony w bezprzytomności, przy ledwie wyczuwalnym pulsie pisywał „natchnione wiersze“ i „robił staranne ich korekty,“ wypowiadał „głębokie myśli“ i „rozstrzygał najważniejsze kwestye“ — ten, który w poezyi nie wyniósł się nigdy po nad mechaniczne naśladowanie Horacego, a w filozofii — po nad parafrazę zasad Tomasza z Akwinu. A spójrzmy na wspaniały obraz wielkiego ducha, którego „skinienia słuchają krańce ziemi,“ gdy w nocy nad nią czuwa. Rzym zasnął — powiada *Vox urbis* — wszystkie światła zagasły. Tylko w jednem oknie Watykanu płonie blask: tam papież „składa daninę wiedzy“ i przygotowywa niewzruszone drogowskazy dla ludzkości. Wreszcie, zmęczony tytaniczną pracą, „otwiera okno, podnosi świętą prawicę, bardziej drżącą z powodu wzruszenia, niż z powodu sędziwego wieku i błogosławi miastu.“ Jakiżby to był majestatyczny widok, gdyby go nie psuła jedna drobna okoliczność, mianowicie że Leon XIII — o czem dawniej donosiły te same gazety — kładł się do łóżka systematycznie o 10-ej wieczorem, nie mógł przeto późno w nocy ani „składać danin nauce,“ ani błogosławić miastu.

Obok wszakże anegdoty i bezmyślnej chwalby odezwała się już krytyka. Jeden z najgruntowniejszych znawców watykanizmu i przyjaciel (zreformowanego) papiestwa, poseł włoski R. de Caesave, rzekł do korespondenta *Siècle'a*: „To tylko pewne, że nie zajdzie nic takiego, coby mogło zmienić nasze życie narodowe lub życie innych państw. Konklawe rozpocznie się protestem św. kolegium przeciw rządowi włoskiemu, który jakoby krępował jego niezależność, co jest bezwzględnym fałszem. Następnie wybraniec zwróci się do mocarstw ze skargą na pozbawienie papiestwa władzy świeckiej... Włochy nie mogą wyobrazić sobie papieża bardziej nieprzejednanego, niż był Leon XIII. Rozumiem, że inne państwa lubiły go, dla nich bowiem był on papieżem idealnym. Anglikom usunął kłopoty z Irlandyą, a nadewszystko pomagał Niemcom. Mniej sprzyjał Francyi, ale względem nas był zaciekłym wrogiem i każde nasze nieszczęście radowało go wielce. Wprawdzie nie jest to po chrześciańsku, ale też papież jest zawsze więcej politykiem, niż chrześcianinem.“

„Ze stanowiska chrześciańskiego— pisze J. Jaurès w *P. Rép.*— zachowanie się Głowy kościoła było w ostatnich dniach dość małem... Jest coś szczególnego w gorącem pożądaniu, z jakiem 93-letni starzec całował tyarę świętego Januarego, aby chociaż nieco odwlec ostatnią chwilę. Gdyby on nawet pożył jeszcze kilka miesięcy lub lat, nie mógł się przecie spodziewać, że rozwiąże wszystkie zagadnienia świata i osłoni kościół od wszelkich niebezpieczeństw. Powinien był wiedzieć, że kiedykolwiek umrze, pozostawi swemu następcy dzieło niedokończone. Nie bezinteresownie przeto, jedynie ze względu na kościół żądał on cudu od swego Boga, lecz dlatego, ażeby życie swoje, które już i tak przeskoczyło zwykłą miarę ludzkiego, przedłużyć bodaj o parę dni. Zdaje mi się, że byłoby to przyzwoitszem i wyższem, gdyby ten papież bez egoistycznego błagania poddał się był wyrokowi woli, przed którą milionom istot ludzkich zalecał uginać się w milczeniu i pokorze. W każdym razie jego otoczenie nie okazało należnego papieżowi szacunku, usuwając z przed niego prawdę śmierci. Kto wziął na się rolę Głowy wiernych, ten powinien był przynajmniej dać im przykład, jak trzeba poddawać się ostatniej próbie natury i dostrajać swego własnego ducha do wiecznego porządku, którego rzeczywistość wysławiało się wszystkim. Kiedy słyszymy, że czasopisma watykańskie robiły osobne odbicia numerów dla zatajenia przed papieżem grozy jego stanu i pozwolenia mu się łudzić, to ta drobna przebiegłość klerykalna, ta gra w ślepą babkę z wiecznością doskonale charakteryzuje pomysłowość dowcipu rzymskiego, ale odbiera śmierci jej jedyną wielkość, polegającą na odważnem spojrzeniu jej w oczy.“

„Pomimo wszelkich usiłowań— powiada Clemenceau — nie mogę przedstawić sobie

myśli papieża, stojącego nad krawędzią wielkiej przepaści. Daremnie jest się namiestnikiem Boga; urząd ten jest tylko czasowym, a chwilowe bóstwo musi również kiedyś wpaść w noc, w której mogą je czekać wielkie niespodzianki. Byli papieże, którzy zostali potępieni, to nie ulega żadnej wątpliwości. Czy można wyobrazić sobie Aleksandra VI, siedzącego po prawicy Boga? Co do mnie, gdybym uwierzył, że dobra Opatrzność, której nie prosiłem o moje istnienie, przygotowała dla mnie wieczny ogień, jeżeli szczerze szukałem prawdy, ale nie znalazłem prawdy Leona XIII, to również bałbym się śmierci, podczas gdy myśl o niebycie, zarówno przed, jak po życiu, przynajmniej uwalnia nas od strasznej trwogi... Nasz papież, jak sądzę, ubezpieczył się od wszelkich wypadków w tamtym świecie, nie spieszył się jednak z odejściem i pomimo wiecznej szczęśliwości, na którą liczył, lepiej podobała mu się ziemia.“

Dalej Clemenceau mówi, jak papieża po części leczono nauką, a po części zabobonem (tyarą) i jak drżący starzec, mający pretensyę do rządzenia wszystkiemi sumieniami świata, przedstawia się w charakterze pełnomocnika Stwórcy. „Biedny!—woła znakomity publicysta. — Co za straszliwy dramat, jeśli tę duszę w ostatniej chwili ogarnęło wątpienie! Bodajby to nieszczęście nie spadło na niego! Bodajby on nigdy nie był się przekonał, że wszystkie tyary, prawdziwe czy fałszywe, są Zajtafernesa!“

Objaw to bardzo charakterystyczny, że wyjąwszy organy klerykalne, najsurowsza krytyka o Leonie XIII odezwała się w narodach katolickich. Objaw to również bardzo zrozumiały. Papież, który był do tego stopnia politykiem, że największego wroga katolicyzmu obdarzył „orderem Chrystusa“ i w ostatnich latach często powtarzał: „Brak mi Bismarcka,“ który w swych sympatyach i dążeniach nie kierował się nigdy względami wiary, lecz względami polityki, który chciał być nie duchowym pasterzem swej owczarni, lecz monarchą parusetmilionowego państwa, dla którego każdy sprzymierzeniec był dobry, aby tylko do jego celów przydatny — taki papież musiał daleko bardziej zadawalać innowierców, niż katolików, których często w najcięższych położeniach opuszczał.

J. B.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wyboru nowego papieża spodziewać się można na 1—2 sierpnia.

Apponyi d. 21 z. m. zeszedł z krzesła prezydyalnego Izby poselskiej, aby skorzystać z praw zwykłego posła. Wypowiedział manifest przed opozycyą i całym narodem. Żądania samoistności wojskowej stały się narodowemi; będą mieli własne swoje wojsko; ale obstrukcya jest nielegalną, zgubną, a jej wrzekoma podstawa— nielegalność stanu obecnego— wręcz fałszywą. Płytkie dziennikarstwo widzi w mowie ujęcie się za Khuenem, gdy w rzeczywistości była to *oratio pro domo sua*. Apponyi teraz powinien ująć batutę polityczną. Obstrukcyoniści, przez ponowne złożenie władzy przez Kossutha d. 15 z. m. wyzwoleni, postanowili nie ustępować.

Dnia 21 z. m. Izba gmin uchwaliła 317 głosami przeciwko 20 w ostatecznem już głosowaniu bill o uwłaszczeniu wyrobników rolnych, dzierżawiących własną swą ziemię od panów z prawa i zwyczaju. Jest to bill dawniejszy, w przeszłym roku tu streszczony. W. Brytania daje Irlandyi dla dzierżawców 100 mil. f. st., dla panów 12. W ciągu 15 lat ma się dokonać przemiana, a w ciągu $68^1/_2$ spłata długu przez nowonabywców, którzy wtedy dopiero staną się właścicielami. Redmond oświadczył, że teraz nic już nie sprzeciwia się *home rule'owi*.

W Brukselli zmarł d. 20 z. m. słynny generał belgijski, inżynier wojskowy, Brialmont, a w Reichenhall d. 29 z. m. Adam Sapieha, człowiek wśród arystokracyi naszej niezwykły: karty, kieliszek, koń i kobieta nie były mu wszystkiem; umiał żyć, chcieć i myśleć poważnie i uczciwie; miał serce nietylko dla siebie i swoich, ale i dla narodu; nie zadrżał przed młodością górną a chmurną. Popełniał błędy, ale umierał bez skazy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Wybór „samozwańca“ w Prusach Zachodnich.— Projektowana secesya konserwatystów — Polacy a centrum. — Działalność germanizatorska księży.— *Przewodnik na obczyźnie.* — Wiec w Dortmundzie.—Wynik germanizacyi szkolnej. — Wybory do sejmu pruskiego. — Ciekawa ankieta.

Ile przed wyborami uwaga powszechna zwrócona była na Górny Śląsk i toczącą się tam walkę ludu polskiego z klerem katolickim—polskim i niemieckim — o tyle obecnie opinia publiczna zajęta jest wyborem „samozwańczego“ posła w okręgu tucholsko-chojnickim. Czytelnicy *Prawdy* wiedzą już o fakcie niesłychanego nadużycia władzy ze strony centralnego komitetu wyborczego Prus Zachodnich, który, gwałcąc wolę ogółu wyborców, odrzucił kandydaturę redaktora *Gazety Grudziądzkiej*, Kulerskiego, wysuwając na jego miejsce osobę jakiegoś Sikorskiego. Księża tryumfowali, ale bardzo krótko, bo oto lud, uważany przez tych obrońców interesów niedobitków szlacheckich za zwykłe „bydełko wyborcze,“ postanowił czynnie zaprotestować przeciwko narzucanej sobie kandydaturze i głosować za Kulerskim.

Jęk rozpaczy rozległ się w całej prasie szlacheckiej. *Dziennik Poznański*, cytując zdanie organów ludowców, popierających Kulerskiego, pisał: „Nie będziemy z przytoczonemi powyżej zdaniami i pismami polemizowali! Z anarchią niema dyskusyi i faktów. Anarchia szlachecka sejmików i sejmikowców Polskę ubezwładniła i w przepaść popchnęła, anarchia ludowcowa teraz pracuje nad ubezwładnieniem i zatraceniem polskiego społeczeństwa narodowego. Anarchistom nawet do sumienia przemawiać nie pragniemy, bo to zbyteczne“ itd. Kandydat Sikorski i jego zwolennicy zrozumieli, że sprawa ich stoi bardzo krucho, więc poczęli bombardować Kulerskiego i *Gazetę Grudziądzką* telegramami i listami, prosząc, aby „zażegnano to rozdwojenie.“ Tymczasem owi „anarchiści“ agitowali za Kulerskim z wielkiem powodzeniem, gdyż ludność tak była oburzona na komitet centralny, księży intrygantów

M. C. Bielecki.

Wody kwitnące.

(Dokończenie).

Z płowych, zardzewiałych oczeretów przy wyspie, co jest kresem mojej wycieczki myśliwskiej, wypłynęła w pewnej chwili duża wydra, prawie nieróżniąca się zabarwieniem od najbliższych kęp starganego wiatrem i powodzią sitowia. Skierowała się już do zakrętu, za którym zniknęłaby mi z oczu, gdy nagle, ujrzawszy łódź, kichnęła zabawnie, wydęła się, jak worek futrzany i, zanim zdążyłem wystrzelić, z cichym chlupotem osunęła się w wodę. Mogło się zdawać, że z przelęknienia zgubiła drogę do ciemnego domu, gdzie zapewne nawet w dzień najjaśniejszy panuje mrok w głębokich, przepaścistych wnękach podziemia, bo woda nad nią drży nieustannie, bulgoce, jak gdyby zadyszała się ciężko, szepcząc: „Nie puszczę, nie puszczę!“ Ale nie — wyrwała się z objęć wody, znowu jest na powierzchni— naprzód pysk opryskany słońcem—później miękki, ociężały grzbiet, skąpany w ochrze złocistej. Dąsa się, patrzy nieufnie, z pode łba, z ukosa na moją zasadzkę pośród trzcin i tataraku. Poczęła skomleć na trwogę. Niebawem rozpłakała się na dobre tym suchym, zwierzęcym płaczem, który i u ludzi daje się słyszeć czasami, gdy, jak to mówią, łez w oczach i głosu w krtani zabraknie. Aż litość bierze!

Cofnąłem przygotowaną do strzału dubeltówkę:

Tymczasem z oślizgłego zielska wygrzebało się małe, niezgrabne wydrzątko o sutych kudłach, pozlepianych szlamem i tłustemi źdźbłami kaczeńca. Zdążało ku matce w gwałtownych, wysilonych rzutach łapek, grzbietu i główki. Objęły się długiem i wymownem spojrzeniem, w którem było wszystko — i strach, i radość niezmierna, i taka dziwna pokora, rozbrajająca, zda się, najgorsze nieszczęście — i niezwłocznie, razem już dały nurka w roztrzaskane tafle płynnego zwierciadła.

Teraz myślę, czemu zwlekałem do ostatniej chwili spełnienie śmiertelnego wyroku? Czyżbym sądził, że kosztem pysznego kołnierza z wyłogami nie okupię tej chwilowej przyjemności wpatrywania się z najwyższem zajęciem w cichą tragedyę zwierząt, niewolników przyrody — wolnych, bo nieznających nieugiętego przymusu, pod którym żyją — bez wiedzy i bez żądzy poznawczej, która jest znowu najgłębszą tragedyą ludzi?

Czyżbym już i wtedy umiał uszanować to, co jest prawem bytu najlepszem na świecie, najpierwotniejszem i najbardziej powszechnem: miłość macierzyńską. W niej to cudownym nad wszelki podziw sposobem zrastają się w rdzeń żywotny stany ducha sprzeczne na pozór i niepojednane, więc ból i radość, życie i śmierć, niezmierna przyszłość i przeszłość odwieczna. Bo niema kresu, kędyby duch mógł się zatrzymać, mówiąc: „tu mój początek,“ jak niema kresu, któryby można nazwać końcem. Bo nie wiadomo, którego dnia „zaczęła się w duchu myśl o człowieku, a najmniejsze

i Sikorskiego, że nie potrzeba było zbytnich wysiłków, ażeby zapewnić zwycięztwo Kulerskiemu.

A zwycięztwo było przygniatające. Kulerski otrzymał 6,024 głosy, kiedy Sikorski 2,959, w czem bardzo dużo głosów Niemców-centrowców, którzy opuścili własnego kandydata, niemającego żadnych widoków wyboru (Boening otrzymał 110 głosów, zamiast 1,700, jak to było przy wyborach głównych), byle poprzeć przeciwnika, „wroga księży,“ Kulerskiego. Sikorski więc, pomimo szalonej agitacyi szlachty i księży, nie otrzymał nawet połowy tego, co Kulerski. I znowu jęk rozpaczy przeleciał po całej prasie konserwatywnej, która grozi ni mniej ni więcej, jak odsunięciem się od życia publicznego szlachty i duchowieństwa. *Dziennik Poznański* pisze np.: „Nie ulega wątpliwości, że wybory tucholsko-chojnickie były niespodzianką dla wielu delegatów i członków komitetu centralnego i że takiego wyniku się nie spodziewano. Wybory te przekonały u nas każdego nieuprzedzonego, że p. Kulerski, opierając się na masie wyborców politycznie niewyrobionej (!), będzie mógł dzięki naszemu regulaminowi wiecowemu przeprowadzić jeżeli nie wszystkich, to przeważającą liczbę kandydatów oddanych mu na każde skinienie. Ponieważ p. Kulerski ma bardzo mało przyjaciół wśród inteligencyi, przeto poziom umysłowy delegatów i członków komitetu centralnego zostałby obniżony. Gdy delegaci obecni, za którymi stoi cała nasza inteligencya wiejska i miejska, oraz całe duchowieństwo polskie, usunięci zostaną od wpływu, gdy się przekonają, że z pracy ich mają korzystać zwolennicy p. Kulerskiego, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przeważna ich część uzna współzawodnictwo za niemożliwe i nie chcąc służyć sprawie w jej przekonaniu szkodliwej, usunie się od życia publicznego.“ W przekładzie na język mniej tragiczny tyrada ta oznacza: masy wyborców dochodzą pomału do świadomości swych interesów i nie chcą już dłużej dać się prowadzić za nos przez księży i szlachtę; wobec tego pal licho całą działalność publiczną, jeśli ona nie przyniesie nam — księżom i szlachcie — żadnego pożytku. Sens moralny takich poglądów zupełnie otwarcie wypowiedział jeden z delegatów na zjazd komitetu centralnego: „niech okrąg przepadnie, niech wybiorą Niemca, byle nie Kulerskiego!..“

Takie i tym podobne powiedzenia nie są kaprysem tych czy owych osób. Stanowią one doskonałą ilustracyę zmian, jakie zaszły w ustosunkowaniu się wzajemnem różnych sił społecznych w Prusach Zachodnich. Wielka własność ziemska, polska gwałtownie wymyka się z rąk szlachty. Są powiaty, gdzie ocalały 3—4 dwory szlacheckie, wobec czego rola szlachty w życiu publicznem musi spaść do minimum. I w rzeczywistości przewodnictwo szlachty utrzymuje się już tylko dzięki tradycyj z jednej strony a wpływowi moralnemu księży — z drugiej. Tymczasem bogate chłopstwo polskie — tak zwani gburowie — oświecają się i utrwalając swe stanowisko materyalne, pragną zastąpić bankrutów szlacheckich. Takież same aspiracye żywi i wzmagające się na siłach polskie drobnomieszczaństwo. Stąd antagonizm pomiędzy szlachtą i księżmi z jednej strony, gburami i drobnomieszczaństwem —z drugiej. Ten antagonizm umiejętnie wyzyskują tacy Kulerscy, Brejscy i inni redaktorowie pism ludowych, podkopując grunt pod dotychczasowymi kierownikami życia politycznego prowincyi i zmuszając ich do ustąpienia.

Konserwatyści koniec końców musieli się pogodzić z faktem wyboru Kulerskiego, teraz jednak usiłują wszcząć nową kwestyę — mianowicie, czy można „samozwańca“ przyjąć do Koła polskiego. Co prawda, to nietylko Kulerskiego dotyczą te wątpliwości, ale i Korfantego. Bo jeśli Kulerski został wybrany wbrew woli księży zachodnio-pruskich, to Korfanty, wybrany z pomocą socyalistów, oburzył na siebie cały kler centrowy, i ta część posłów polskich, która dba przedewszystkiem o łaskę centrum, musi się na wstąpienie Korfantego do Koła zapatrywać bez wielkiego zapału. Wogóle stosunek Koła do centrowców staje się dziś kwestyą najbardziej aktualną. Konserwatyści poznańscy trzymają się oburącz sutanny centrowej, nie bacząc na kopnięcia i policzki centrowców-hakatystów; ludowcy zaś godzą się powoli z myślą szukania sojuszników na lewicy, choć boją się zerwać z tradycyą. Stąd dyskusya obszerna w prasie poznańskiej.

Ciekawy artykuł w sprawie stosunku Polaków do centrum zamieścił *Orędownik*. Artykuł wyszedł jednak z pod pióra nie ludowca, tylko konserwatysty, który nie mógł widocznie znaleźć dla niego miejsca w organach swojej barwy. Autor wychodzi z założenia, że nastał już czas, aby lud nasz zrozumiał różnicę między pojęciem „Polak“ a „katolik,“ gdyż takie zacieranie różnic, jakie istniało dotychczas, jest wodą na młyn germanizacyi. Autor artykułu stwierdza, że pomiędzy Niemcami katolikami istnieje wielki odłam wręcz wrogo i nienawistnie do Polaków usposobiony. Na Górnym Śląsku katolicy niemieccy nie chcą uznać narodowości polskiej. Dzieci polskie przyłącza się do niemieckiego oddziału przy nauce przygotowawczej do sakramentów, niemczy się je w ochronkach, prowadzonych przez zakonnice niemieckie, zwalcza się ruch narodowy nawet w kościele, a sami konserwatyści szczycą się, że jedna trzecia ich członków na Śląsku, to Niemcy-katolicy. Wobec tego Polacy zawsze powinni wobec katolików niemieckich zaznaczać swoją odrębność w polityce, w stowarzyszeniach, w nabożeństwach. Jeden tylko wyjątek można uczynić z tej zasady ogólnej, mianowicie przy wyborach, jeśli zachodzi obawa, a nawet pewność, że przez oddanie głosów na posła polskiego upadnie poseł katolicki a zwycięży wróg kościoła, wtenczas Polakom „sumienie katolickie“ nakazuje wybierać centrowca, ale i to musi się dziać nie na komendę centrowców, tylko na mocy kompromisu, gdy ów poseł zobowiąże się, że będzie w parlamencie bronił sprawy polskiej i zajmie się szczerze potrzebami wyborców polskich. Skoro Niemcy-katolicy poznają, że łączność z Polakami zapewni im niejedną korzyść, że od głosów polskich zależeć będzie zwycięztwo w niejednym okręgu, wtenczas będą się liczyli z naszą przyjaźnią polityczną i będą nas popierali.

Jest to taktyka, rozumie się, daleko mądrzejsza od dotychczasowego bezwzględnego wysługiwania się centrowcom w imię „interesów katolicyzmu,“ choć niezawsze możliwa do zastosowania i niezawsze pożądana, zwłaszcza gdy chodzi o rozstrzygnięcie walki pomiędzy centrowcem a przedstawicielem lewicy parlamentarnej, nawet nieskrajnej. Ażeby uregulować stosunek Polaków do centrum, należy, zdaniem autora artykułu w *Orędowniku*, utworzyć polski komitet centralny na całe Niemcy. Z powagą takiego komitetu musiałby się liczyć i zarząd centrum, i taki kardynał Kopp, i *Katolik* itd.

Bezwarunkowo, jeden centralny komitet wyborczy, zatwierdzający kandydatury polskie i kompromisy wyborcze od Prus Wschodnich i Śląska aż do Westfalii i Nadrenii, posiadałby pewne znaczenie praktyczne, ale tylko w takim razie, jeśliby paktował nie z samem centrum, ale i z innemi partyami. Już ostatnie wybory pokazały, że o wyborze trzech polskich kandydatów w Prusach Zachodnich rozstrzygają socyaliści niemieccy, gdy znowu w Westfalii głosy polskie mogą przechylić szalę na korzyść socyalistów niemieckich. To samo będzie w bliskiej przyszłości w okręgu wiejskim gdańskim, a z czasem i w miejskim. Tu więc polityka kompromisowa mogłaby święcić wielkie tryumfy — jednakowo korzystne dla stron obu. Ale tylko w takim razie, gdyby w komitecie

---

źdźbło trawy już ją ma logicznie napisaną w kształcie swoim.“ „Każdy rąbek listka wiem co znaczy, każdym się bowiem kształtem duch mój z pracy swojej wytłomaczył“ *).

Może obawiałem się zawczasu cichego, samotnego kwilenia, które kiedyś mógłbym usłyszeć w tem miejscu, płynąc pod wieczór na upragnioną schadzkę ze złotowłosą tęsknicą zmierzchu? Ludzie przesądni lub przeczuleni, co zresztą na jedno wychodzi, widują nieraz na tych włosach — krew!

A może wprost nie chciałem się pozbawić moralizatorskiego przywileju „mówienia z przykładami“ o wielu rzeczach, niezgodnych z idealnym porządkiem ludzkiego współżycia — więc z jednej strony o grzechach, od których rozkochana w sobie cnota ze wstrętem się powinna odwracać, z drugiej zaś o jarmarcznych lusterkach sprawiedliwości, w których ludzie dobrej woli mogą podziwiać własną urodziwość i elegancyę moralną? Nie wiedziałem jeszcze, że to moje lusterko rozbije się za chwilę z okropnym brzękiem o kamień, znaleziony na brzegu tejże wysepki, a jednak wyczuwałem już w sobie zgryźliwy brzask zdarzeń, co miały dopiero nadejść. Tem tylko mogłem sobie objaśnić ów dziwny niepokój zapierającego oddech oczekiwania, w jakiem ślizgałem się teraz myślą widzącą i wzrokiem ociemniałym po giętkiej, metalowej powłoce rzecznego rozlewiska, co wyciągała się przede mną, połyskując niezliczonemi spojeniami złotej łuski, przylutowanej, zda się, do powierzchni wówczas, gdy miała rozpłynąć się na zawsze w ciepłych odetchnieniach wiatru, wówczas, gdy śniłem, że dobra południca odzyskuje władzę nade mną, obrywa, tak sobie — od niechcenia, moim myślom leniwe skrzydełka, że opadają niby okwiat, zwarzony upałem, w senne przeźrocza. Słyszę gasnący szmer...

I naraz porwałem się ze słodkiej kołyski.

Zawrzało we mnie, jak w mrowisku, gdy zjawi się tam znienacka wróg śmiertelny— olbrzymia, pancerna szczypawka, która jednem uderzeniem szczęk obosiecznych powala całe zastępy i, jak sam strach, ma wielkie, wysadzone, magnetyzujące oczy. A strach ma wielkie oczy, szczególnie wtedy, gdy się nie zdążyło jeszcze przygotować odpornie na przyjęcie nagłego urzeczywistnienia przeczuć.

I oto miałem je przed sobą w nic nieznaczącej na pozór postaci ciemnego zawiniątka, pogrążonego nieopodal w wodzie.

Niechętnie odbijam łódź od brzegu.

Coraz bliżej. Teraz mogę już wiosłem sięgnąć po zagadkową zdobycz.

Drżącymi palcami rozplątuję, zrywam w pośpiechu zaciśnięte, przemokłe węzły wełnianej płachty i — żachnąłem się jak ten, co na przeczystych piersiach kochanki bogów i ludzi ujrzał krostę brzydkiej, sromotnej choroby!

Uderzył mnie przeraźliwie w obnażone, obolałe nerwy mój własny szept, czy wrzask (tego nie umiałem już odróżnić).

Z podartej chustki wylazła twarzyczka małego topielca, nawskróś zsiniała i powleczona żrącą śliną zgnilizny.

W powiekach bezrzęsych, otłuszczonych stęchłym barwnikiem ropy, te dziecinne, niepokalane oczy, co onegdaj po raz pier-

*) Słowacki: Genezis z Ducha.

centralnym zasiadali nie ograniczeni klerykali polscy, lecz ludzie o szerszych widnokręgach politycznych.

Zresztą sam bieg wypadków będzie coraz bardziej odsuwał Polaków od sojuszu z centrowcami niemieckimi, gdyż wśród tych ostatnich hakatyzm staje się pomału prądem panującym. Taki fakt odmówienia posłowi Korfantemu ślubu kościelnego, takie prowokacye księży, jak w Hucie Laury i w Zabrzu, nie przysporzą sympatyi dla centrowców wśród mas polskich. A faktów tych coraz więcej: Ksiądz obił w kościele prenumeratora *Głosu śląskiego* za to, że nie chciał więcej prenumerować *Katolika*; drugi ksiądz, Burek, wykłada z kazalnicy, że mowa polska pochodzi od dyabła; ks. Kopp zabrania robotnikom śpiewać w kościele pieśni polskich, zastępując je... łacińskiemi. Najgruntowniej (po Górnym Śląsku) psują się stosunki na zachodzie — w Nadrenii i Westfali. Ponieważ tam wskutek wysunięcia samodzielnego, polskiego kandydata centrum straciło przy wyborach trzy mandaty, przeto postanowiło ono zabrać się do podkopania bytu *Wiarusa Polskiego*, pisma, które kierowało całą akcyą wyborczą Polaków na zachodzie. W tym celu centrowcy założyli nowe pismo w języku polskim p. t. *Przewodnik na obczyźnie*. Organ ten ma być redagowany przez jakiegoś Żukowskiego z Poznania i wychodzić w dużym formacie, trzy razy na tydzień. Prospekt tego pisma, podpisany przez Lamberta Lensinga, niedoszłego kandydata na posła z Dortmundu, rozsyłany jest wszystkim księżom, którzy szalenie agitują za nowem pismem. Dla zaprotestowania przeciw temu organowi zwoływane są obecnie wiece, z których największy dotychczas odbył się w Dortmundzie.

Na wiec zgromadziło się mnóstwo robotników polskich. Przewodniczył p. Kolenda, który wyjaśnił, że nowe pismo jest tylko zastawieniem sideł przez Niemców centrowców na Polaków, poprostu wilkiem w owczej skórze. Zadaniem tego pisma będzie rozbić tutejszych Polaków na dwa wrogie sobie obozy, aby ich w ten sposób prędzej zgermanizować. W końcu przewodniczący prosił, aby nikt z Polaków nie abonował tego pisma, nie brał go do domu, a popierał *Wiarusa Polskiego*, *Narodowca* i inne pisma ludowe, a przedewszystkiem „Spółkę drukarską,“ która ma przystąpić do wydawania w Dortmundzie pisma polskiego, mogącego stawiać czoło temu *Przewodnikowi na obczyźnie*. Po Kolendzie mówił p. Kwaśniewski, ostro krytykując i zwalczając germanizatorską robotę księży, którzy nawet w samym kościele wciskają do ręki to „przebrzydłe piśmidło,“ nawołują z ambon i zapisują w zakrystyach abonentów. Przemawiali w tym samym duchu i inni mówcy, poczem uchwalono następującą rezolucyę:

„Zebrani Polacy na wiecu w Dortmundzie dnia 12 b. m. protestują przeciwko narzucaniu im hakatystycznego pisma w polskim języku p. t. *Przewodnik na obczyźnie* i wyrażają przekonanie:

1) że żaden prawy Polak nie będzie go abonował, lecz starał się, ażeby nikt z rodaków go nie utrzymywał;

2) protestują przeciwko polecaniu tego pisma z ambon, również życzą sobie, aby pp. kupcy nie umieszczali w niem reklam i ogłoszeń, bo nie mogliby ich w tym razie pod żadnym względem popierać;

3) ubolewają bardzo, iż znaleźli się rodacy, którzy dali się użyć za narzędzie do zwalczania świadomości narodowej wśród braci naszych i wstąpili jako redaktorzy tego germanizatorskiego pisma — jesteśmy zniewoleni nie uznawać ich nadal za Polaków, lecz za zdrajców sprawy narodowej;

4) zgromadzeni dziś wyrażają zaufanie przedstawicielom i kierownikom, których *Przewodnik na obczyźnie* wraz z sławetną „Tremonią“ śmie nazywać krzykaczami, wichrzycielami i burzycielami spokojnego ludu.“

Rzecz ciekawa, że ciż sami centrowcy, którzy w swych stowarzyszeniach zajadle zwalczają język polski, nie wahają się wydawać pisma polskiego, skoro chodzi o ich własny interes. Stwierdzają tem, że nawet do dzieła germanizacyi język niemiecki nie wystarcza, że chcąc wpływać na masę polską w jakimkolwiek bądź kierunku, należy używać języka polskiego.

Jakiś ksiądz zamieszcza w *Schl. Volkszeitung* ciekawe uwagi na temat postępów germanizacyi przez wpływ szkoły na Górnym Śląsku. Mówi on, że przypatrującego się obecnej walce na Górnym Śląsku, uderza przedewszystkiem, że właśnie ci młodzi ludzie, którzy po reskryptach Falka w szkole *tylko* po niemiecku się uczyli, występowali jako najzaciętsi przeciwnicy centrum i najradykalniejsi Polacy. Starsi ludzie głosowali po większej części na kandydata centrum i nie popierali „agitacyi wielkopolskiej.“ A więc — gdzież ten skutek szkoły niemieckiej na Górnym Śląsku? pyta ów ksiądz. Zaprzeczyć nie można — mówi dalej — że przez mechaniczne uczenie się na pamięć i ośmioletnią rozmowę po niemiecku z nauczycielem, dzieci umieją jako tako porozumieć się po niemiecku. Ale po opuszczeniu szkoły rozmowa niemiecka ustaje, ponieważ w domu, przy robocie itd. używają jedynie języka polskiego, a skutkiem tego z wielkim trudem w szkole wyuczona niemczyzna wychodzi z pamięci. Przedewszystkiem zapominają wyuczonych po niemiecku abstrakcyjnych prawd religii. W krótkim bardzo czasie po opuszczeniu szkoły już nie rozumieją kazania i z tego powodu nie chodzą na nie. Wobec takiego stanu rzeczy ów ksiądz przypuszcza, że dopóki rozporządzenia Falka nie zostaną zniesione, nie można liczyć na uspokojenie ludu górnośląskiego. Naiwny księżyna sądzi, że cała walka obecna na Górnym Śląsku zostanie zażegna, jeśli wniesiony zostanie polski wykład religii!

Wielkie oburzenie panuje w kołach centrowców z powodu wiadomości, że narodowcy polscy mają stawiać samodzielnych kandydatów i przy wyborach do sejmu pruskiego. Jakkolwiek przy tych wyborach w Prusach panuje system trójklasowy, uniemożliwiający ludowi wybranie swych kandydatów, to jednak narodowcy postanowili na swem poufnem zebraniu w Katowicach agitatować za polskimi kandydatami nawet tam, gdzie oni mają najmniej widoków powodzenia, jak w katowicko-zabrskim i gliwicko-lublinieckim.

Bardzo ciekawą ankietę ogłasza *Gazeta Robotnicza*. Chodzi o zebranie danych, dotyczących nadużyć centrowców przy ostatnich wyborach. Pismo katolickie prosi swych czytelników o dokładne podanie wszystkich szczegółów z wymienieniem nazw osób i miejscowości — w sprawie: agitacyi księży przeciwko partyom opozycyjnym z kazalnicy lub konfesyonału; podburzania do bicia kolporterów odezw i roznosicieli kartek wyborczych; czynnego znieważenia tych kolporterów przez księży, organistów, kościelnych itd.; zapowiadania zebrań centrowców po kościołach; powoływania na pomoc policyi i żandarmeryi przeciwko protestującym; używania najobelżywszych wyzwisk przeciw kandydatom anticentrowym; wydzierania przez księży przy oddawaniu głosów kartek na kandydatów opozycyjnych a wciskania im gwałtem kartek centrowych itd. Kwestyonaryusz wymaga nader szczegółowych informacyj. Oto np. szereg pytań przy punkcie, dotyczącym podburzania do bicia kolporterów odezw opozycyjnych: Kiedy i gdzie ksiądz podburzał? Jak ksiądz się nazywa? Co mówił dokładnie? Kogo podburzał? Czy pojedyńcze osoby, czy cały tłum w kościele? Czy po podburzaniu przez księdza stał się jakiś gwałt przeciwko wyżej wymienionym roznosicielom odezw? Nazwiska bitych lub znieważonych roznosicieli.

Materyał zebrany za pomocą tej ankiety będzie wyzyskany w parlamencie przeciw-

---

wszy i ostatni ujrzały światło dzienne, płaszczą się teraz, jak mętne ciałka mięczaków — zmartwiałe gwiazdy morza. Kąty ust skurczyły się boleśnie od goryczy widomej trupiego jadu, co w ledwie dostrzegalnych gruzełkach rdzawej piany wyciekł na dziąsła wyszczerzone, zanim poznały te usta niemowlęce gorycz westchnień, przekleństw, wstrząsanych łkaniem i gorycz milczenia, krwawiącego się w beznadziejnym, bezmyślnym uśmiechu wydziedziczonych synów ziemi.

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie...

Ale czyż zmieni się od tego treść skargi, że jeszcze na nią zawcześnie, że nie zdążyła rozwinąć się w trujące kwiaty straszliwych słów i myśli, że tylko w pianie serdecznej zwiędła na ustach?

Oto płynie poroniony płód złotego drzewa miłości w dal, ku piaszczystym przystaniom ludnych wsi ze skargą na złą wiosnę, co drzewom soków skąpi, sady robactwem nasyła i każe wiatrom przychodnim strącać zalążki zbyteczne, bo zrobaczałe.

A jednak — zawcześnie, kwiatku!

Bo czy zrozumieją to ludzie szczęśliwi? Może wypatrzą w tej twojej wstrętnej, zmurszałej twarzyczce ostry wyrzut skargi na matkę wyrodną? A nie domyślą się nawet, że ta matka, dając dziecku „na drogę“ marną, przywiezioną z odpustu chuścinę, może najlepszą ze wszystkich pamiątek miłosnej niedoli — dała mu wszystko, co było w jej mocy. Czy zechcą to zrozumieć, że aby mieć wielkie i święte obowiązki, trzeba wpierw posiąść wielkie i święte prawa człowieka?

Nie, rybko uśnięta, nie popłyniesz na skargę!

Dziś z wielu strasznych prawd trzeba robić tajemnicę.

Więc staniesz się tajemnicą, zatopioną w wodach kwitnących, w żywej kądzieli lnu bajecznego, równie, jak te łzy, co wsiąkły w twój całun śmiertelny — w marną, pamiątkową chuścinę...

W nagłem postanowieniu, z pośpiechem szarpiącym przywiązałem rzemieniem od strzelby do zwłok nieznajomego, niezapomnianego braciszka ciężki kamień, znaleziony na brzegu wysepki.

Woda rozstąpiła się, westchnęła głęboko i znowu się zawarła, jak wieko kryształowej trumny, w której czas gromadzi od wieków łzy ludzkie, skrzepy krwi serdecznej, sny poronione i poronione istnienia, aż w dzień gniewu pańskiego pęknie trumna z łoskotem, zalewając ciemne, struchlałe oblicze świata topielą martwego morza.

Nerwy moje naprężyły się do niewytrzymania, więc zdało mi się, że potem może już przyjść jedna, jedyna chwila— ta wiąśnie, co rzuci wodom śmiertelny rozkaz wezbranie, i że nadbiegające koliska fal, są początkiem końca.

Lecz fale uległy niebawem kojącej władzy Marzanny, do snu pokładły się spokojnie u jej stóp słonecznych — i znowu była cisza, cisza...

W ostatniej z fal skwapliwie umyłem ręce.

ko centrowcom przez posłów ze skrajnej lewicy. *Pośrednik.*

Listy z Francyi.

Paryż, 25 lipca.

Prawo o opiece nad starcami, kalekami i nieuleczalnymi. — Kongres dobroczynności publicznej i prywatnej w Bordeaux.

W miesiącu ubiegłym powszechne zainteresowanie wzbudziły szerokie rozprawy w Izbie i ostateczne przyjęcie prawa o opiece nad starcami, kalekami i nieuleczalnymi.

Kwestya to nienowa, niejednokrotnie od dziesiątków lat podnoszona zarówno w Izbie, jak w Senacie. W 1888 roku ministeryum wydało cyrkularz usilnie zalecający gminom i radom departamentalnym ustanowienie pensyj dla starców. W r. 1897 zawotowano nawet przeznaczenie w budżecie stałej sumy 600,000 fr. na zapomogi dla gmin, które przedsiewzięły u siebie wypłacanie pensyj starcom 70-letnim; okazało się jednak, że zachęta w tej formie była niewystarczająca, $^3/_4$ bowiem sumy powyższej pozostawało nietknięte. Przy obecnym ustroju centralistycznym gminy nie kwapią się z organizowaniem tak niezbędnej i pożytecznej instytucyi z obawy obarczenia swych mieszkańców nowymi ciężarami. Czy to więc chodzi o szkołę, szpital, czy o przytułek, pozostawiają państwu inicyatywę i urzeczywistnienie najlepszych projektów, oczekując jedynie nowych praw i rozporządzeń. Wobec warunków teraźniejszych, wobec egoizmu i skąpstwa tak oddzielnych jednostek jak i gmin, wszelkie cyrkularze, nawołujące do zakładania instytucyj społecznych, pozostawały martwą literą i tylko prawo, uchwalone przez parlament, przyczynić się może do ich wprowadzenia w życie. Podobnież od r. 1851 datuje się rozwój szpitalnictwa, gdy obowiązkiem stało się przyjmowanie chorych; od r. 1889, gdy wyszło prawo, dopuszczające zawieszenie władzy rodzicielskiej, przeszło 20,000 dzieci korzystało z opieki Dobroczynności miejskiej (Assistance publique); a od r. 1893 stała się obowiązującą dla gmin bezpłatna pomoc lekarska dla niezamożnych chorych. W roku bieżącym przyszła kolej na prawo opieki nad starcami i niezdolnymi do pracy, zostało ono przyjęte dzięki energicznemu prowadzeniu sprawy przez komisyę parlamentarną, na czele której stał b. minister Millerand, a zwłaszcza dzięki wyraźnemu zastrzeżeniu, że w danym razie nie idzie bynajmniej o zabezpieczenie na starość, lecz o finansową opiekę, o materyalną pomoc starcom. Pomimo że w Izbie złożony był od dawna wyczerpujący projekt dep. Vaillanta o zabezpieczeniu na starość, pomimo usilnego domagania się jego zwolenników, aby w rozprawach wzięto go również pod uwagę, nietylko nie rozpatrywano wcale, ale starano się wprowadzić zamęt w pojęciach, twierdząc, że jest to projekt całkiem odrębny, na który przyjdzie później kolej — albo też dowodząc, że pomiędzy pomocą (assistance) rozumianą przez Milleranda i Jaurès'a a zabezpieczeniem (assurance) Vaillanta zachodzi jedynie różnica natury etymologicznej.

Jakkolwiek niewątpliwie tylko „zabezpieczenie“ zapewnia zupełne i bezwarunkowe prawo do emerytury na starość lub w razie niezdolności do pracy, to jednak nie można zaprzeczyć, że i obecne prawo opieki czy też pomocy starcom i nieuleczalnym jest oparte na racyonalniejszym, niż dotychczas, punkcie widzenia i z tej przyczyny zadaje potężny cios dawnym pojęciom o dobroczynności.

Już na wstępie referatu komisyi czytamy: „Komisya uważa, że koniecznem jest założenie instytucyi solidarności społecznej, która zasadniczo różni się od dobroczynności (charité), gdyż daje osobom interesowanym prawo domagania się pomocy oraz środki do osiągnięcia tych żądań. Zaś prezes komisyi i jej referent kilkakrotnie zaznaczali wyraźnie podczas dyskusyi, że społeczeństwo jest dłużnikiem względem człowieka, który wśród niego żył, pracował i zniszczył swe siły, a starzec lub przedwcześnie zniedołężniały, żądając praw do życia, domaga się, jak wierzyciel, zwrotu długu od społeczeństwa. Charakterystycznem jest, że wszędzie zastąpiono wyraz *biedny* (indigent) przez określenie: pozbawiony środków (privé de ressources), że starano się redagować prawo w duchu solidarności i sprawiedliwości społecznej, a nie litości i filantropii.

Według nowego prawa, każdy Francuz, pozbawiony środków do życia, jak również cudzoziemiec pochodzący z kraju, w którym istnieje prawo analogiczne, bądź po 70 latach, bądź wcześniej w razie kalectwa lub choroby nieuleczalnej, może korzystać z usług solidarności społecznej, zorganizowanej w formie pomocy obowiązkowej. Przedewszystkiem winna mu pomagać jego własna gmina, a w razie jej niemożności — departament lub państwo i to na tych samych zasadach, jakie od r. 1893 są obowiązujące co do bezpłatnej pomocy lekarskiej.

Nietrudno widzieć niedostateczność i niedoskonałość tego prawa. Przedewszystkiem oznaczenie niezdolności do pracy dopiero w 70 roku życia jest niewątpliwie zbyt dalekie, przytem nie można stosować jednej miary do wszystkich, gdyż niemało jest ludzi, którzy doszedłszy lat 50, są już wyczerpani i do pracy niezdolni, jakkolwiek nie dotknięci ani chorobą, ani kalectwem. Niesłusznem też jest ograniczenie dotyczące cudzoziemców, gdyż nie oni są winni, że ich ojczyzna nie posiada odpowiedniej organizacyi społecznej. Wreszcie należałoby koniecznie uprościć i zdemokratyzować całą stronę formalną, tyczącą się udowodnienia niezamożności przed radą miejską, departamentalną itp., uznając za wystarczające świadectwo związku zawodowego itp.

Mniej podlegają krytyce artykuły o sposobach pomagania: §§ 17 i 18, wyrażają one jasno, że starcy, kalecy i nieuleczalni otrzymują zapomogę pieniężną, wypłacaną miesięcznie w ilości co najmniej 10 fr. Ta forma pomocy jest najmniej poniżającą, nie nosi bowiem cechy jałmużny i łaski, jak ofiary w postaci artykułów żywności, ubrania, kwitów na mieszkanie, opał lub chleb, przytem nie zakłóca jego przyzwyczajeń życiowych. Przysługiwać będzie prawo mieszkania pod dachem rodziny własnej lub obcej, jak również korzystania z przytułków publicznych, nie tracąc jednak możności ich opuszczenia lub też zmieniania formy zapomogi. Nie należy bowiem zapominać — jak słusznie zaznaczało wielu deputowanych — że przytułki, choćby najlepsze, są mocno zbliżone do koszar, gdzie hygiena jest często niemożliwa, a rygor i surowość względem starców czyni dla nich pobyt tam nieznośnym. Przytułki zaś, założone jako fundacye prywatne, służą po większej części interesom klerykalizmu i wstecznictwa, winny przeto podlegać bacznej i nieustannej kontroli państwowej.

Łatwo domyśleć się, że nacyonaliści i wszelkiego rodzaju konserwatyści dokładali wszelkich usiłowań, ażeby to nowe prawo demokratyczne całkiem w projekcie pogrzebać lub też przez różne zmiany i dodatki do niepoznania wykoszlawić, albo uczynić niewykonalnem. Naturalnie, występowali zawsze pod pozorem obrony interesów natury ogólniejszej. Wszyscy oni niemal zarzucali, że zastosowanie tego prawa pociągnie za sobą wielkie ciężary dla całej ludności, że jest ono niedostatecznie opracowane pod względem finansowym. Tymczasem już w samym referacie komisyi można znaleźć dokładne obliczenia, opierające się na danych urzędowych z ministeryum spraw wewnętrznych. Według nich korzystałoby z nowego prawa ogółem 153,281 osób, z których na Paryż przypada 29,729, reszta na prowincyę; utrzymanie zaś ich wyniosłoby 43,281,334 fr. Z tej sumy jednak należałoby odtrącić dochody z legatów oraz subwencye udzielane szpitalom i biurom dobroczynności, wynoszące 25,864,109 fr., tak że właściwie wprowadzenie prawa w życie kosztowałoby rocznie *maximum* 17,397,215 fr., a jak utrzymuje referent nie przeniosłoby 12 milionów, z których połowa przypadłaby na gminy, a czwarta część na departamenta i państwo.

Decydującem w tej kwestyi było przemówienie Milleranda, który zakończył temi słowy: „Prawo, które wam przedstawiamy, nie jest dziełem jednego jakiegoś odłamu partyi republikańskiej, ale wszystkich jej frakcyj. Nie jest ono w pośpiechu zaimprowizowane, jak utrzymują niektórzy, lecz dokładnie przestudyowane i opracowane przez administracyę, najwyższą radę dobroczynności publicznej oraz radę stanu. Możecie przeto śmiało za niem głosować, gdyż z pewnością jest ono jednem z najważniejszych dzieł, jakiego dokonała trzecia Rzeczpospolita.“ I istotnie, Millerand zdołał pociągnąć znakomitą większość, bo aż 537 głosów, wobec czego można wnioskować, że i w senacie uzyska zatwierdzenie.

Podczas dyskusyj w izbie nad opieką nad starcami i kalekami odbywał się w Bordeaux trzeci kongres narodowy dobroczynności publicznej i prywatnej. Długo zdawało się filantropom, że dla zwalczenia nędzy dość jest ofiarować pieniądze, dziś i oni już rozumieją, że forma pomocy wymaga głębokiego i wszechstronnego rozpatrzenia. Z tego też względu okazała się potrzeba ogólniejszych obrad i kongresów, z których pierwszy miał miejsce w 1894 r. w Lyonie, drugi w 1900 r. w Paryżu, a trzeci obecnie w Bordeaux. Głównemi kwestyami postawionemi na porządku dziennym były: opieka i wychowanie dzieci nienormalnych, podniesienie wykształcenia i polepszenie doli służby szpitalnej, stosunek dobroczynności prywatnej do publicznej, oraz opieka nad starcami zdolnymi do pracy. Z charakteru prowadzonych dyskusyj wnosić można, że nawet w łonie filantropów francuskich nastąpiła wielka zmiana co do pojmowania dobroczynności. Jednogłośnie niemal zapadła w Bordeaux uchwała, ażeby wszystkie pracownie i warsztaty t. zw. dobroczynne, utrzymywane bądź przez osoby świeckie, bądź duchowne, podlegały ścisłej kontroli inspektorów przemysłowych. Wszyscy też głosowali za koniecznością zawiązania ściślejszych węzłów i ciągłego porozumiewania się pomiędzy organami dobroczynności prywatnej a publicznej. Widocznie zrozumieli, że pierwsza powinna być dopełnieniem drugiej, że w miarę rozwoju społeczeństwa jej działalność musi się coraz zacieśniać.

Doniosłe też miało znaczenie żywe zajęcie się losem t. zw. „valides âgés“ tj. ludzi za starych, ażeby mogli znaleźć pracę, a za młodych jeszcze, by mieć prawo do emerytury, zapomóg, przytułków itp.; do tej kategoryi należy we Francyi około 100,000 ludzi. Dotychczas państwo nie opiekowało się nimi, są oni zazwyczaj na łasce swych rodzin, słusznem więc jest, że kongres polecił drogą próby jak najprędsze zorganizowanie instytucyj przemysłowych i rolniczych, któreby im dostarczyły pracy za odpowiednią opłatą. Może ta uchwała filantropów będzie bodźcem dla deputowanych do wniesienia odpowiedniego projektu w izbie.

Dr. Józef Zieliński.

NOTATKI SPOŁECZNE.

—✦—

Izby pracy (Arbeitskammern). Doświadczenie, jakie już sobie zdobyły Izby pracy, powstałe w Holandyi przed pięciu niespełna laty, nie będzie chyba bez wartości dla tych krajów, gdzie dotychczas nie zaprowadzono jeszcze tego rodzaju instytucyj, braki bowiem prawodawstwa holenderskiego już dziś występuję w całej pełni i domagają się gwałtownie środków zaradczych. Prawo zakreśliło Izbom szerokie pole działania, lecz one nie mogą sprostać stawianym im żądaniom, głównie z powodu braku środków materyalnych, jako też i obojętności stron zainteresowanych w ich istnieniu. Organizowane są dla poszczególnych rzemiosł, jak i dla całych gałęzi przemysłu; w skład ich wchodzi po pięciu przedstawicieli i jednym przewodniczącym od pracodawców i robotników, którzy się co pół roku zmieniają. Ponieważ przewodniczący posiada w niektórych sprawach głos rozstrzygający, więc też nie dziw, że wyroki Izb są stronne i dlatego pozbawione moralnego autorytetu dla powaśnionych. Członkowie Izb nie otrzymują żadnego wynagrodzenia, a przeciążeni pracą, traktują swe obowiązki opieszale, ze szkodą instytucyi.

Działalność Izb pracy jest różnorodna. Z jednej strony mają one charakter urzędowy — ciąży na nich obowiązek gromadzenia danych, dotyczących stanu rynku pracy, długości dnia roboczego, wysokości płacy, powstających w danej gałęzi związków roboczych itp. Następnie we wszystkich sprawach, mających związek z robotnikiem, winny zwracać się z przedstawieniami do władz prowincyonalnych oraz centralnych. Na tej drodze działalność Izb została w wielu wypadkach pomyślnym uwieńczona rezultatem: osiągnięto przymusowe zmniejszenie godzin zajęć, powiększenie płacy, wogóle przyczyniły się one w znacznej mierze do polepszenia bytu klasy pracującej. Z drugiej strony Izby pośredniczą między pracodawcami a robotnikami, dając im możność wzajemnego porozumiewania się, lecz nie posiadają autorytetu władzy.

Prawo żąda od nich pośrednictwa w umowach między przedsiebiorcą i robotnikiem, określenia ilości pracy i wynagrodzenia dla każdej gałęzi, wreszcie — zadanie najtrudniejsze a jednak najżywotniejsze—zapobiegania zatargom pomiędzy pracodawcami i pracującymi, łagodzenia sporów na drodze polubownej i powstrzymywania od strajków. Pod tym względem przepisy są dość wyczerpujące. W sprawach mniejszej wagi rozstrzyga przewodniczący. W razie, jeżeli zatarg jest poważniejszy i dotyczy interesów pewnej gałęzi przemysłu, lub nawet całej klasy robotniczej, to przewodniczący przedstawia rzecz Izbie, która wyznacza ze swego łona „sąd pojednawczy.“ Sąd po zbadaniu sprawy wydaje wyrok i komunikuje go stronom na piśmie, lecz ten wyrok, nawet przy jednogłośnem orzeczeniu, nie ma siły obowiązującej, chociażby dlatego, że jedna ze stron może bezkarnie uchylić się od stawania i zeznawania w sądzie.

Sądy pojednawcze traktowane są z wyraźną niechęcią przez obie warstwy społeczne. Przedsiebiorca jest wszechpotężnym panem w Holandyi, gdzie związków robotniczych znajduje się niewiele, a istniejące skupiają się w większych miastach; robotnicy zaś pod wpływem swych radykalnych przywódców niechętnie uciekają się do załatwiania sporów na drodze pokojowej. Dość, że sądy pojednawcze w praktyce niewiele mają zastosowania i ustępują miejsca komisyom rozjemczym, które składają się, podobnie jak i sądy, z równej ilości delegatów od pracodawców i robotników. Różnica cała polega na tem, że przewodniczącym w komisyi jest zawsze ktoś trzeci bezstronny, a nie jak w sądach — przedstawiciel jednej ze stron i że strony oświadczają z góry gotowość poddania się wyrokowi, jaki zapadnie. Różnica ta przemawia na korzyść komisyi rozjemczej.

Izby pracy nie dały oczekiwanych rezultatów, nie posiadając żadnych pełnomocnictw, nie mogły usunąć strajków z ich groźnemi dla klasy pracującej następstwami, tyle tylko, że były instytucyą stałą, zawsze gotową do polubownego załatwiania sporów. Winić tylko należy prawodawstwo, że obarczyło je dwiema tak różnorodnemi czynnościami — gromadzeniem materyału statystycznego i łagodzeniem zatargów. Wkrótce ma się odbyć zjazd przedstawicieli Izb pracy, który opracuje projekt zmian pożądanych w ich prawodawstwie.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

—·—

Próchno.

Kiedy od bieguna do bieguna rozbrzmiewają dziś po globie ziemskim hasła siły, kiedy każdy naród chce tę siłę wykrzesać z siebie, jak iskrę z krzemienia, kiedy dla tej siły poświęca się wiele, bardzo wiele, nieraz zanadto wiele, kiedy najlepsze głowy rozmyślają nad tem, co może stanowić ową siłę, ze wszystkich kątów i zakamarków wystąpują cienie, przybierają kształt człowieka współczesnego, nieraz człowieka o niepospolitych zadatkach umysłowych, narzucają się naszej uwadze, zachodzą nam drogę dzienną, wieszają się niby hamulce u wozów, napełnionych naszymi planami, szepcząc do nas: jestem, nie zaprzeczysz, że jestem! Jestem ta dusza chora, złamana, bo się do czegoś niezwykłego rwała, jestem ten, znany ci, improduktyw! Jestem, próchno, próchno świecące, posiadające nawet samoblask, przecie próchno. Nie przeklinaj mnie; bo nieraz, ja próchno, więcej jestem warte od tych waszych gigantów mierności...

Dumne próchno!

Wziął je sobie za tytuł i treść Wacław Berent do swojej ostatniej a dopiero drugiej powieści. Powieść tę drukował w *Chimerze*, a następnie w książce. Czytelnik mógłby mnie zapytać, czemu o tej powieści nie mówię w rubryce sprawozdań literackich, lecz w fejletonie poświęconym sprawom społecznym? Na to pytanie mógłbym odpowiedzieć pytaniem: czemu ta właśnie powieść pojawiła się w *Chimerze*, poświęconej rzekomo czystej sztuce? Ach, uważam to za okoliczność bardzo szczęśliwą! To, co ja pragnąłbym powiedzieć, mówi Berent i mówi w dodatku w samej *Chimerze!*

Henryk Galle w doskonałym artykule swoim twierdzi, że „Próchno“ wywarło na nim wrażenie przygnębiające. Na mnie — nie! Na mnie wywarło wrażenie krzepiące; odczułem tę radość, jaką się ma, gdy nam ktoś powie — prawdę. Uświadomienie sobie prawdy, to wielka rzecz! A Berent powiedział prawdę, powiedział prawdę z niepospolitą siłą i talentem. Berent wszedł do domu rozpusty, ale sam nie upadł. A inni weszli i upadli. Weszli, upadli i ze swego upadku zrobili całą filozofię. Berent stanął po nad światem, który opisuje; świat ten nie uwiódł go swemi ponętami. Berent jest duszą silną. Jemu trzeba wierzyć.

Chimera próbowała oddzielić sztukę od życia. Czy się mylę? Niech zresztą buduje teorye, jakie chce, jeśli teorye te prowadzą do pomieszczenia w jej łamach takiej powieści, jak „Próchno.“ Ach, te podziały, te sztuczne podziały! Podzielono człowieka na duszę i ciało — dyalektycznie; tak samo oddzielono dyalektycznie sztukę od życia. Ale, gdzie się kończy ciało a gdzie zaczyna dusza? Któż mi na to odpowie? Gdzie się kończy życie a gdzie zaczyna sztuka? I na to któż mi odpowie? Ach, sztuka jest jednym z objawów życia, natężonego życia. Powiedzcie mi, jaka jest wasza sztuka, a ja wam powiem, jakie jest wasze życie!

Po tych przeróżnych teoryach dziwnie a zarazem miło czytać w *Chimerze* pod „Próchnem“ Berenta wyjętą z Andrzeja Frycza Modrzewskiego „O poprawie rzeczypospolitej“ cytatę, którą tu pozwolę sobie przedłużyć nieco: „Serdeczne niemoce niebezpieczniejsze są, niźli cielesne, a częstokroć one bywają przyczynami tychże. Niech przeto każdy zleczy myśl swą, a miasto rzeczy niech się nie boi cieniów ani snów, a obyczajem sofistów niech tego nie czyni przyczyną, co nie jest przyczyną. Tacy jesteśmy mało nie wszyscy, iż w wielu rzeczach bywamy ślepi, błądzimy, upadamy. A gdy drudzy ostremi oczyma na nasze upadki chcieli pożreć, nie leda jakoby się jeden znalazł, któryby z nami w przyjaźni na wieki zamieszkał.“ A to było pisane w epoce, kiedy jej natchniony twórca i wódz duchowy zagrzmiał owym dotąd niezapomnianym dwuwierszem: „I wdarłem się na skałę pięknej Kalliopy, gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy...“

Ale pod tym wyjmkiem z Frycza „O naprawie rzeczypospolitej“ widnieje drugi wyimek, wydarty z dzieła Fryderyka Nietzschego „Jenseits von Gut und Böse,“ z rozdziału „Was ist vornehm,“ który także pozwolę sobie nieco uzupełnić: „I oto znów grozi klęska, zwiastuje się wielkie niebezpieczeństwo, przejawia się wszędzie, w bliźnim, w przyjacielu, na ulicy... Tylko mierni mają widoki dalszego trwania... „Bądźcie miernymi!“ staje się odtąd jedyną moralnością, która jeszcze ma sens, która jeszcze znajduje posłuch. Ale trudno apostołować tę moralność mierności! Moralność ta nie może się nigdy przyznać otwarcie, dokąd zmierza, czem jest, ona musi mówić o zachowaniu miary, godności, o obowiązku, o miłości bliźniego — biedzi się z zamaskowaniem tej ironii!“

Co, hasło: „bądźcie miernymi“??

Nie, przeciwko takiemu hasłu zbuntuje się całe pokolenie! Wszystko, tylko nie mierność!

Zabrzmiało niedawno w pismach: wasze życie i wasza sztuka to ruja i porubstwo! Czytelnicy! Zapomnijcie wraz ze mną, kto i co w tym sporze wypowiedział. Oderwijmy się myślą od osób, od jednostek, abyśmy znowu z pod rynny zagadnienia nie wpadli pod „deszcz błota.“ Miejmy jedno na uwadze: ci, którzy się podają za Westalki świętego ognia moralności, zawołali w stronę, powiedzmy naprzykład — próchna — „wasze“ życie i „wasza“ sztuka to tokowisko i nierząd. Hola, dlaczego „wasze“? Czy dlatego, że się u nas nie narodził Ibsen i że nikt wam nie pokazał *waszych* „Upiorów,“ „Borkmanów,“ „Heddy Gabler,“ „Budowniczych Solnessów,“ „Wrogów ludu,“ stających naprzeciw owej „zwartej większości,“ bohaterów „Dzikiej kaczki“ i tam dalej? Czy dlatego, że was ciągle „błyskotkami łudzą,“ jak krzyczy nieludzkim głosem Słowacki w „Grobie Agamemnona“? Czy dlatego, że wolicie od tej okropnej prawdy, zręcznie a wykrętnie chowanej, odbiedz myślą w epokę Petroniuszów i ultra-konwenansowo pojętych Piotrów, albo piekło dnia dzisiejszego przysłonić bojowemi gobelinami „Trylogii“? Ach, wy ludzie z „dogmatem“! Ach, jacy wy moralni! Jak ślicznie wyuczyliście wasze dziewice śpiewać ową modlitwę: „O Boże, daj męża, daj męża!“ Jakie wy tokowisko urządzacie po wsiach i miastach! Czcigodni ojcowie, policzcie tych wszystkich waszych „illegitime natos“! Że na starość djabeł zostaje pustelnikiem, że wy, siwowłose starce, dziś pozerwieniliście z oburzenia, iż się o tem mówi „głośno,“ co się robiło i robi „pocichu“ — to mnie nie dziwi. Ale dziwi mnie jedno. Przecież ci,

na których poczerwienieliście z oburzenia, to krew z krwi waszej, to wasi synowie, wyście wychowali to „próchno.“ Ojcowie-pedagodzy! Co warte wasze ojcostwo i wasza pedagogia? Ideały? Przecież szczepiliście im te wasze ideały! Jakto, nie przyjęło się szczepienie? Krowianka była dobra, tylko co?

Jedno jest faktem niezbitym, ojcowie-pedagodzy! Utraciliście zupełnie wpływ na młode pokolenie. Ach, nie na to pokolenie jałówek, cieląt i czubatych kurek, ale na to pokolenie drapieżniejsze. Posłuchajcie Berenta! On wam coś powie o tem pokoleniu. To pokolenie od was uciekło, ach uciekło od waszych lilipucich myśli, od waszych lilipucich uczuć, od waszych lilipucich powag, od waszej lilipuciej mądrości, uciekło, uciekło, szukało czegoś innego, czegoś ogromnego i w części, ach, tylko w części — zbłąkało się.

O tych nieszczęśliwych zbłąkańcach mówi wam Berent. A nie sądźcie, żeby to były zwykłe łazęgi, zwyczajny śmieć, zwyczajna dekadencya. To dekadencya „polskiej tężyzny.“ W tych ludziach wre, kipi, wzbiera; oni się jeszcze i w upadku rwą naprzód a naprzód. Do szczytów nie dotarli; byli może tylko dla innych „szczeblem do sławy grodu.“ Ale dziś, gdy już część ich pewna do szczytów dotarła, gdy je obsadziła, kiedy weszła tam, „gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy,“ albo gdzie były ślady dawne, zatarte, dziś przypatrzmy się z miłością i żalem tym, którzy nie dotarli, którzy w dół runęli, w dół, w przepaść, których nawet — sztuka odtrąciła.

Ideały społeczne? Ludzie ci plwają na nie? Wielkie nieporozumienie! Oni marzyli o sztuce, czegóż jeszcze chcecie od nich? A inne? Ach, to nie biżuterya, którą można nabyć za pewną, z góry umówioną cenę u złotnika. Są to kwiaty, które wyrastają w umysłowości ludzkiej. Uważajcie, wyrastają! Ludzie ci plwają na tłum? A gdzież oni go widzieli? Berent wam powie. Widzieli go w wiedeńskich kawiarniach i wiedeńskich tanglach, widzieli go przy rozpuście, gdy pił, wył — i śmierdział. Berent nazywa wszystko po imieniu. Ani razu nie widzieli tego tłumu gdzieindziej. Nie widzieli go nad błękitami jezior galilejskich, gdzie się dzielił po bratersku dwoma chlebami i pięciorgiem ryb, ba, bo wtedy szukaliby może jakiej Golgoty, aby za przyszłość rozpiąć ręce na krzyżu. Hej, czcigodni ojcowie! Czemu nie pokazaliście im jakichś galilejskich jezior, owych dwóch bochenków, żywiących pięciotysięczne tłumy, owe Golgoty? Powiadacie, żeście im to pokazali? Gdzie? Wyście im pokazali... Ach, pokazaliście im — siebie, gdy klęcząc w świątyni, wygłaszaliście modlitwę neofaryzeizmu tej treści:

„Boże ojców naszych! Spraw, ażeby syn mój był miernością, aby nie sprzedawał Ciebie za marne trzydzieści srebrników, gdy mu dadzą więcej, jeśli poczeka i potarguje się... Boże ojców naszych! Spraw, ażeby syna mego nie nawiedzał nigdy sen wielkości! Ażeby kochał rubla i siebie, ażeby kochał rubla więcej, niż siebie! Boże ojców naszych! Spraw, ażeby mój syn w ten tylko sposób pojmował Ciebie, ojczyznę i sumienie!“

Ale cóż winien wasz syn, że jego nadczuły słuch podsłuchał was?.. Więc od was uciekł. A czy to łatwo znaleźć sobie drogę tak odrazu? Czy każdy drapieżca jest geniuszem?

Uciekli i rozpadli się w próchno. Każdy zginąć „musi.“ Każdy z nich „ma śmierć w oczach.“ Tak, ten nieszczęśliwy świat to próchno, które świeci. Świeci? Ale próchno. Próchno? Ale świeci... A wyście myśleli, że nie świeci? A wy drudzy myśleliście, że nie próchno?..

Społeczność chce sztuki a nie próchna. Żądanie rozpaczliwie słuszne. Ale przypatrzmy mu się bliżej. Co to znaczy taki przeraźliwie słuszny frazes: społeczność chce sztuki a nie próchna? Co ta społeczność nazywa próchnem, a co sztuką? Kto mówi imieniem społeczności? Kto? Pokażcie go! To bardzo ważne, kto mówi! Mówi... inne próchno, i mówi... nie o sztuce. Społeczność nie ma głosu. Dlaczego? Bo to jest fakt, że go nie ma. W imieniu społeczności mówią tylko rozmaici jej przedstawiciele-samozwańcy. Społeczność to nie prenumeratorzy jakiegoś pisemka, a jakieś pisemko to nawet nie wyraz prenumeratorów, ale najwyżej wyraz strachu przed prenumeratorami... Społeczność w większej części wypadków nie wie poprostu, o co chodzi!

„W czyjem imieniu przemawia pan?“ — zapytał mnie razu pewnego jakiś „przedstawiciel.“ — W swojem własnem — odparłem, i zdawało mi się, że powiedziałem uczciwie. Ale ów „przedstawiciel“ uśmiechnął się ironicznie. To dla niego nic.

Śród dawnych plemion semickich, a prawdopodobnie wszędzie, człowiek, który chciał, aby go słuchano, musiał powiedzieć, że ma misyę od samego Boga. Dziś na szczęście podobne oszustwo nie jest konieczne. Można się bez niego doskonale obyć. Dziś mogę powiedzieć: mam misyę od mego rozumu, „ja“ mówię, możecie przyjąć słowa moje, możecie ich nie przyjąć. Nie żądam „wiary,“ ale „zrozumienia.“ Ale dla wielu ludzi bóstwem jest... kuryerek, a reporter jego prorokiem. Swoją drogą bóstwa te tracą powoli ślepo wierzących. Berent mówi! Ludzie już i Berentów słuchają.

Podupadła u nas bardzo sztuka „ojców,“ zaczyna coraz więcej zdobywać sobie miejsca sztuka — synów. Tak, tak! Zmieniają się pojęcia o sztuce. Poczekajmy, może zmienią się także pojęcia o próchnie.

Ojcowie-pedagodzy! Wypiszcie wasze cnoty i wasze ideały na arkuszu, na wielkim arkuszu. Wypiszcie wszystkie! Będzie to cnotliwy... plakat pogrzebowy. Cnotliwe próchno. Tych cnót tam wypisanych nikt wam nie odmawia, ale nastąpiło „Unwertung aller Werthe.“ Oburzacie się na próchno bohaterów Berenta? Jedno próchno oburza się na drugie próchno? Ach, mnie to próchno, które opisał Berent, bardzo interesuje; o niem trzeba dużo myśleć, nad niem trzeba się poważnie zastanowić, a to wasze próchno? Ach, to wasze — to wasze trzeba poprostu tylko — wziąć miotłę i wymieść!

I można je wymieść. Dużo się już nawet wymiotło. To próchno jest zresztą tak nieraz pokorne, że się samo wymiata. Ale próchno, o którem pisze Berent, nie ma pokory śmiecia. To dumne próchno, to jad. Tu trzeba nie wymiatać, ale „zleczyć myśl.“

To próchno krzyczy, protestuje przeciwko czemuś. Ono słyszało przerażające przykazanie: „Bądźcie miernymi!“ Ono protestuje przeciwko temu okrzykowi; całe jego życie, cała niedola, to tylko wyraz tego strasznego protestu. Czy się mylę?

Gdy się nie dzieją wielkie rzeczy, dzieją się rzeczy małe. Gdy się nie dzieją rzeczy podniosłe, dzieją się rzeczy plugawe. To nieubłagane prawo natury. Świat w miejscu nie stoi; kwitnie albo gnije. Niema „interregnum“ pomiędzy ideałem a błotem. Historya zamieniała nieraz największych hołyszów w bohaterów. Historya umie także w chwilach okropnych upadków zamieniać bohaterów... w próchno.

Ach, ta historya!

Widzicie, to próchno, nim się próchnem stało, pisało nieraz zadziwiające rzeczy. Przytoczę ustęp z niedrukowanego poematu pewnego mało znanego, ale niepospolitego poety:

Nęci nas sława i wyższość duchowa,
Nęci posągów nieśmiertelna głowa,
Wyższość to naszych dusz idea główna,
Dopóki wszystkich nam śmierć nie wyrówna.
Gdy zaś nie możem iść po sławy polu,
Chcemy być wyżsi nad ludzi choć — w bólu!
Ach, to ostatnie, to jedno nam wolno!
Zgniecionym dolą bezdomną, bezrolną,
Kramarzom bólów, których nikt nie kupi,
Rodzie poetów! o, jakiś ty... śmieszny!

Ale na ten niesłychany okrzyk, na to pragnienie „wyższości duchowej,“ odkrzyknął świat brutalnie przez usta ojców swoich: „Bądźcie miernymi!“

I nastąpił rozpad zastępu „wyższości duchowej.“ Silniejsi poszli naprzód, wtargnęli na szczyty, słabsi rozpadli się w próchno. Lecz próchno się mści. Ono się mści za utraconą wyższość duchową, ono się mści za narzucone jarzmo mierności. Ono nie może być — miernością!

Woli być — próchnem, niż — miernością!

A wam się to niepodoba? „Krzyknęli: nie pozwalam, uciekli“ — do *Kuryerka* i *Biesiadki?*

Nie pozwalam — to mało, to djabelnie mało. A może chcecie coś zrobić, aby „zleczyć myśl“?

Może im krzykniecie: szukajcie owej wyższości duchowej! Wszystkiem bądźcie, tylko nie bądźcie miernością!

No, krzyknijcie — hej, śmiało: Stanie się cud! Próchno wyjdzie z knajp i tynglów, zrośnie się w olbrzyma, giganta, w tytana, tak, ruszy na szczyty, gdzie „dotychczas nie było śladu polskiej stopy“!

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYPUSZCZALNE przyczyny epoki lodowej.

III.

Wobec istnienia mimośrodu, to jest przy drodze eliptycznej (nie kołowej) półrocza letnie i zimowe mogą być tylko w takim razie równe, gdy punkta porównania przypadają w perihelium i aphelium. Gdy wypadek ten nie ma miejsca, pory roku są nierówne, a różnica ich jest wtedy największa, gdy mimośród jest największy i równocześnie linia, łącząca punkta równonocne, leży prostopadle do linii, łączącej perihelium i aphelium (linii apsydów). Pierwsza z tych linij dzieli wtedy drogę ziemską na dwie części nierówne, krótszą, zawierającą perihelium, w której przytem bieg ziemi jest szybszy (z powodu większej blizkości słońca), i dłuższą, zawierającą aphelium, w której bieg ziemi jest powolniejszy. Stąd wynika, że część drogi od porównania wiosennego do jesiennego (lato) będzie przebieżona przez ziemię w czasie różnym, niż część od porównania jesiennego do wiosennego (zima). Gdy któraś półkula (jak obecnie północna) ma zimę w perihelium, to zima jej będzie krótsza, niż lato; na półkuli zaś przeciwnej zachodzi stosunek odwrotny.

Różnica trwania pór roku wynosi przy obecnym mimośrodzie 7,8 dni, tj. o tyle dni słońce przebywa dłużej na północ równika, niż na południe. Przy maksymalnym zaś mimośrodzie różnica ta może wzrosnąć według Laplace'a do 36,1 dni, według innych — do 34,6 dni.

Zmiany w położeniu punktów równonocnych wynoszą 50,26 sekund rocznie; całkowity więc obieg punkt równonocny wiosenny wykonałby w 360 : 50,26" = 25800 lat; ponieważ jednak równocześnie

i wielka oś elipsy drogi ziemskiej też posiada ruch i to w kierunku przeciwnym, więc punkt równonocy, wiosenny powraca do pierwotnego położenia już wcześniej, mianowicie po 21,000 lat. Ta cyfra wyraża całe trwanie peryodu, o który tutaj chodzi. Jeżeli punkt wiosenny przypada w pewnym czasie na aphelium lub perihelium, to różnica długości pór roku = 0; następnie różnica ta rośnie przez 5,000 lat (okrągło), aż dosięgnie *maximum*, poczem przez 5,000 lat maleje.

W ciągu więc około 10,000 lat jedna półkula ma długą zimę a krótkie lato, w ciągu następnych 10,000 lat toż samo ma miejsce dla drugiej półkuli.

Ponieważ czasy, w ciągu których mimośród drogi ziemskiej trzyma się przy wartości maksymalnej, są daleko dłuższe, niż ten peryod, więc w ciągu peryodu maksymalnego mimośrodu te nierówności pór roku powtarzają się powielekroć i nawiedzają obie półkule w sensie przeciwnym. Na podstawie tych różnic w długości pór roku, wzrastających od czasu do czasu do *maximum*, opierają się liczne hypotezy o wielkich zmianach klimatu (i epoce lodowej), nawiedzających obie półkule zawsze w sensie przeciwnym.

Najdawniejszą z nich jest teorya francuskiego matematyka Adhémara (1842 r.). Według jego teoryi, na tej półkuli, która ma długą zimę, gromadzą się śniegi i lody dokoła bieguna tak, iż środek ciężkości ziemi przesuwa się nieco ku tej półkuli. To wywołuje częściowe przelanie się morza na tę półkulę, co jeszcze powiększa jej oziębienie. Półkula południowa, która obecnie ma zimę dłuższą, ilustruje według Adhémara te konsekwencye: przedstawia ona wielki zalew lądów, których tylko resztki sterczą ponad niezmierzoną powierzchnią oceanów; przedstawia też znaczne obniżenie się linii śnieżnej oraz lodowców.

Teorya Adhémara znalazła początkowo wielu zwolenników, ale później dowiedziono niemożliwości przesunięcia się środka ciężkości w takich rozmiarach, aby zadość czyniły tej teoryi.

Daleko ważniejszą jest teorya angielskiego uczonego, J. Crolla. I ta teorya opiera się na niejednakowej długości pór roku przy wielkim mimośrodzie drogi ziemskiej, ale bierze też w rachubę wpływ ciepłych prądów morskich na złagodzenie klimatu wyższych szerokości. Teorya Crolla, która do dziś dnia liczy wielu znakomitych zwolenników, zwłaszcza w Anglii (Wallace, Geikie), jest następująca:

Gdy zima przypada w aphelium podczas peryodu wielkiego mimośrodu drogi ziemskiej, wówczas jest ona daleko dłuższa i zimniejsza niż obecnie. Śnieg pada nawet w szerokościach nizkich, w których obecnie pada tylko deszcz, a jakkolwiek ilość śniegu nie jest zbyt wielka, to jednak pokrycie śnieżne jest trwałe, albowiem temperatura trzyma się znacznie poniżej punktu zamarzania. Gdy następnie przybywa wiosna i lato, to początkowo wysoka temperatura letnia nie zmniejszy, lecz raczej zwiększy ilość opadu śnieżnego, a to przez zwiększenie ulatniania się mórz. Ale i wtedy, gdy wreszcie śniegi zaczną topnieć, trzeba długiego czasu, aby nawet niziny uwolniły się od pokrywy śnieżnej, a na górach już niezbyt wysokich pokrywa ta pozostanie aż do jesieni, gdy zacznie padać śnieg nowy. Nastepny rok przyniesie powtórzenie tego samego procesu z tą różnicą, że teraz linia śnieżna będzie zstępowała coraz niżej, aż wreszcie obszary wyżej leżące ulegną stałemu pokryciu śnieżnemu, a doliny wypełnią się lodowcami. Tym sposobem np. połowa Szkocyi, znaczna część Anglii i Walii, prawie cała Norwegia zostaną pokryte śniegami i lodami. Teraz występuje nowy czynnik przyśpieszający zlodowacenie — wpływ trwałego pokrycia śnieżnego na klimat. Rozległe powierzchnie śnieżne i lodowe zamieniają parę, przynoszoną przez wiatry, w śnieg; oziębiają one powietrze nawet w lecie i wytwarzają gęste, długo trwające, mgły, które powstrzymują promienie słoneczne i sprowadzają takie stosunki klimatyczne, jakie obecnie panują np. w Południowej Georgii. Topnienie śniegów jest tym sposobem bardzo utrudnione.

Błędnem jest mniemanie, że lato w perihelium podczas peryodu lodowego musi być gorące. Żaden ląd pokryty śniegami i lodami nie może mieć gorącego lata, jak to przekonywamy się na obecnych stosunkach, w Grenlandyi. Nawet Indye, pokryte skorupą lodową, miałyby lato zimniejsze, niż dzisiejsza Anglia.

W rezultacie więc następuje tu wzajemne potęgowanie się różnych czynników: wielki mimośrod wywołuje długie i zimne zimy na jednej półkuli; zimno wywołuje rozległą pokrywę śnieżną; pokrywa śnieżna wzmaga zimno i potęguje opad śnieżny; zimno warunkuje silne zachmurzenie i zamglenie, które osłabia działanie promieni słonecznych i wpływa na trwałość śniegów. Zimno więc potęguje zaśnieżenie, a zaśnieżenie potęguje zimno; skutek potęguje przyczynę.

Podczas gdy tak śnieg gromadzi się na jednej półkuli, maleje na drugiej; to potęguje wiatry passatowe na półkuli zimnej, a osłabia na ciepłej. Wskutek tego ciepłe wody mórz zwrotnikowych będą coraz bardziej przeganiane na półkulę ciepłą. Jeżeli więc np. północna półkula będzie półkulą zimną z długiemi zimami w aphelium, to Golfstrom będzie tu słabł coraz bardziej, podczas gdy ciepłe prądy południowej półkuli będą zyskiwać na sile. To odwrócenie źródła ciepła od wyższych szerokości półkuli północnej sprzyja znów nagromadzeniu się śniegów i lodów na tej półkuli, co znów osłabi jej prądy ciepłe itd. Obecnie większa siła prądów ciepłych północnej półkuli jest skutkiem przekroczenia passatu południowo-wschodniego zimniejszej południowej półkuli na północną.

Taka jest teorya peryodów lodowych Crolla. Peryody interglacyalne odpowiadają peryodom, podczas których dana półkula ma zimę w perihelium, a stąd długie lato. Peryody równego trwania zimy i lata na obu półkulach są czasami przejściowymi.

Teoryi Crolla można według Hanna zarzucić przedewszystkiem, że obecne stosunki klimatyczne obu półkul świadczą przeciw niej. Obecnie różnica w trwaniu obu półroczy wynosi, jak wiadomo, 8 dni, a mimo to dłuższa zima na półkuli południowej jest łagodniejsza, niż krótsza zima półkuli północnej i granica równikowa zimowych opadów śnieżnych trzyma się na pierwszej przecięciowo wyższych szerokości, niż na drugiej. Jest rzeczą bardzo nieprawdopodobną, aby nawet przez czterokrotne powiększenie się różnicy trwania półroczy stosunki, obecnie obserwowane, zmieniły się tak znacznie, przeszły w zupełną odwrotność, jak tego wymaga teorya Crolla. Również przemawia przeciw Crollowi obecne przekraczanie passatu południowej półkuli na północną, mimo to, że pierwsza ma zimy łagodniejsze i mniejszą różnicę temperatury między wyższemi szerokościami geograficznemi i okolicami równikowemi; to przekraczanie passatu wynika z przewagi oceanów na południowej półkuli, co daje większą siłę wiatrom; lądy osłabiają passaty oraz przerywają je, wywołując mussony. Prócz tego przekroczenie passatu na półkulę północną zależy też od silniejszego ogrzewania się jej w okolicach zwrotnikowych wskutek większego obszaru lądów niż na półkuli południowej. Wreszcie większy napływ wód ciepłych na północną półkulę zależy nietylko od przekroczenia passatu, ale i od ukształtowania wschodniego wybrzeża Ameryki Południowej, która wkraczając przylądkiem St. Roque w morze, zmusza znaczną część prądu równikowego do zwrotu na półkulę północną.

Powtóre zjawiska lodowcowe dla swego spotęgowania nie wymagają bynajmniej bardzo surowych zim, lecz chłodnych lat, więc półkula nie z krańcowemi porami roku, z surową zimą w aphelium i gorącem latem w perihelium, jak chce Croll, lecz odwrotnie, półkula z małą różnicą między temperaturami zimy i lata jest korzystna dla spotęgowania lodowców.

Tak więc w kwestyi przyczyny epoki lodowej, czy epok lodowych, nauka stoi dotąd wobec nierozwiązanej zagadki: „Sfinks dotąd jeszcze nie stoczył się ze skały i nowy Edyp jeszcze się nie ukazał."

Wacław Nałkowski.

Prace Maxa Gumplowicza.

Przy każdej, przez ojca ogłoszonej (z pozgonnej teki syna), rozprawie M. Gumplowicza odnawia się w nas głęboki żal, że ten niezwykły badacz zmarł tak wcześnie. A tej straty nie zmniejsza bynajmniej wątpliwa zasadność jego hipotez. W „Leben und Schicksale Balduins Bischof von Kruschwitz" (Poznań, 1902) usiłuje on za pomocą niezmiernie mozolnych dociekań i śmiałych domysłów stworzyć biografię naszego Gallusa i dowieść, że ten Balduin jako osoba wynurzał się w rozmaitych miejscach świata i na rozmaitych stanowiskach. Cały ten wywód, związany sztucznie z rozrzuconych po kronikach Europy wzmianek, nie przekonywa nas; ale gdy zważymy, ile autor włożył trudu w odszukanie wszystkich znanych współcześnie Balduinów, ile wyczerpał źródeł, jaką przytem okazał przenikliwość i niezależność sądu, ogarnia nas zdumienie.

Druga jego praca, świeżo wydana p. t. „Początki religii żydowskiej w Polsce" (Warszawa, 1903), składa się z dziesięciu rozpraw: o historyi Żydów w Polsce, o handlu kaukazko-baltyckim w przedhistorycznej Polsce, skąd i kiedy przyszli Żydzi do Polski, o Chazarach, o walce Chazarów z Gotami, o państwie Chazarskiem, o przyjęciu chrześciaństwa przez Mieczysława I, o stosunku Chazarów do Słowian, o położeniu Żydów po zaprowadzeniu chrześciaństwa i o pierwszem prześladowaniu Żydów w Polsce. Są to niewykończone szkice, pierwsze rzuty do obrazów, których autor nie zdążył wypełnić szczegółami, ale i tu ujawnia się ogromna jego wiedza, bystrość, śmiałość przypuszczeń, oryginalność domniemań, a nadewszystko nadzwyczajna wyobraźnia historyczna. Czy początek religii żydowskiej w krajach słowiańskich sięga VIII w., czy rozpowszechnili ją u nas Chazarowie, czy obecność starych monet arabskich na Pomorzu baltyckiem świadczy, że tu bardzo dawno trudnili się handlem „jacyś Żydzi niekoniecznie z plemienia Izraela" itp., wszystkie te i inne przez Gumplowicza rozstrzygnięte kwestye mogą, pomimo jego twierdzeń, nadal pozostać wątpliwemi, ale to pewna, że on je postawił i oświetlił oryginalnie. W jego rozprawach nie spotykamy ani jednego wytartego długiem używaniem komunału, ani jednej utorowanej ścieżki; idzie on przez tajemniczy las zamierzchłej przeszłości własnym kierunkiem i sam przerąbuje sobie drogę. To też główne jego znaczenie dla historyi polega na zajęciu odmiennych punktów wyjścia, z których nauka niezawodnie skorzysta i una, jako dotkliwą stratę, przedwczesną śmierć badacza, który jej tych pobudek i oświetleń dostarczył.

H.

NOTATKI NAUKOWE.

— Dr. Paul Richer: *L'Art et la Médecine.* Paris. 1902. Gaultier et Magnier.

Piękne to wydawnictwo poświęcone jest dziełom sztuki związanej z medycyną. Autor zebrał i odpowiednio do planu swej pracy zgrupował 345 reprodukcyj obrazów, rzeźb, drzeworytów, mozajek i miniatur, dając obok tego rodzaj historyi sztuki od czasów starożytnej Grecyi aż do chwili obecnej. Zdanie Taine'a co do ścisłego pokrewieństwa, jakie zachodzi pomiędzy sztuką i nauką, daje się uzasadnić przykładami poczerpniętymi już z Grecyi, gdzie Apollo był bogiem sztuk pięknych i medycyny. Niepodobna jednak mieć wyobrażenia, nie znając dzieła Richera, jak wielką była we wszystkich epokach ilość artystów, uwieczniających pędzlem i dłutem różne choroby, kalectwa i anomalie ciała ludzkiego. Oto np. trędowaci w całej swej ohydzie odtwarzani byli przez Holbeina, Alberta Dürera, Masaccio, Burgkmaira, Rubensa; zadżumionych studyowali Rafael, Tintoret, Poussin, Mignard, J. F. de Troy, Gérard, Puget, Gros. Rachityzm, karłowatość i idyotyzm odnaleźć można w utworach Leonarda da Vinci, Mantegna, Bronzino, Veronèse'a, Tiepolo, Velasquez'a, Ribeira, Rubensa, Crancha, Steena itd.

Chirurgia i terapia interesowała takich artystów, jak Teniers, Brauwer, Lundens Gerrit, Lingelbach, Gerard Dow, van Ostade, van Houthorst, Quiringh, Brekelenkam, Pisano, Verochio, wreszcie pośmiertny rozkład ciał uwiecznili Bellini, Jean Juste, Germain Pilon, Girolamadella, Robbia, Ligier, Richier, Carpaccio, Orcagna, Zumbo.

Najciekawsze są jednak studya, poświęcone „opętanym," a jak dziś mówimy— dotkniętym histeryczną newrozą. Pierwsze zabytki z tej kategoryi datują się z V i VI w. i noszą cechę niezmiernie naiwnych wierzeń, powoli jednak w miarę większego studyowania natury i pozbywania się symbolizmu, postacie opętanych przestają mieć wygląd fantastyczny lub konwencyonalny a nabierają charakteru realnego. Również interesującym jest dział utworów sztuki, mających na celu wzbudzenie śmiechu, jako też przedstawiających różne sceny życia domowego, gdzie głównymi aktorami są dawni cyrulicy lub lekarze. *Z.*

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura niemiecka.

Kosmicy.

Artur Moeller-Bruck zatytułował tom XII swego dzieła, mającego objąć całokształt współczesnej literatury niemieckiej: „Prorocy." *) Zaintrygowany mocno, szukam w książce „proroków" niemieckich. Znajduję dwóch: Maksymiliana Dauthendeya i Alfreda Momberta. Więc w duszach tych poetów powstają wizye przyszłości rasy germańskiej. Więc oni okiem duszy widzą to, co kiedyś istnieć będzie w rzeczywistości? Nieinaczej, kiedy pan Artur Moeller-Bruck ochrzcił ich mianem proroków. Zainteresowanie moje co do tych dwóch osobników rośnie oczywiście do najwyższego stopnia. Sprowadzam oba tomy poezyj Dauthendeya: „Ultraviolett" i „Reliquien," cztery tomy twórczości Momberta: „Tag und Nacht," „Der Glühende," „Die Schöpfung," „Der Denker" Lektura moja nie potwierdza słuszności etykiety, którą Moeller-Bruck przylepił na twórczości obu poetów niemieckich. Mombert i Dauthendey są takimi samymi prorokami, jak Wilhelm II Cezarem (w słowach) lub Napoleonem (w czynach).

*) Arthur Moeller-Bruck: „Die moderne Literatur." Band XII. Propheten. Berlin, 1902.

Zaszło więc nieporozumienie. A właściwie: niezrozumienie wewnętrznej wartości pojęcia „prorok." Pan Moeller-Bruck napisał „prorok," a myślał: poeta, żyjący w sferze abstrakcyi. Bo takiemi właśnie indywidualnościami są Mombert i Dauthendey.

Słowo „prorok" jest wogóle „nieeuropejskie." Nasza kultura współczesna, widząca szczyt doskonałości w człowieku, jest wrogo usposobiona dla tak niebezpiecznych indywiduów, jak prorocy. Mieli oni racyę bytu wówczas, kiedy bogowie i półbóstwa po ziemi chadzali, dusze nawiedzali, życiu wskazywali cele wyższe. Dziś proroków zamyka się do szpitala waryatów... Dziś w poezyi tętni rzeczywistość, dziś poezya zasadza się na przejawieniu czaru otaczającej nas przyrody. Kiedy kultura europejska zamknęła życie osobnika w ramy ściśle określone, kiedy z umysłów wykorzeniła zabobony i czary, kiedy wyrugowała z wierzeń moc sił nieznanych — wówczas spędziła też raz na zawsze z widowni proroków, w znaczeniu sprawców zasadniczych wywrotów kosmicznych, zostawiła jednak w duszach tęsknotę za świetlaną przyszłością, smutek i rozpacz... To też pierwiastki przenikają poezyę współczesną, odblask w niej znajdują. Proroków w niej nie szukajcie! Ostatnich (i to w odmiennem zupełnie znaczeniu) widziały czasy romantyczne, tych geniuszów „widzeń," co to w chwilach uniesień ekstatycznych identyfikowali się ze społeczeństwem, wśród którego żyli i na skrzydłach swej wyobraźni unosili je w sfery doskonalsze, czystsze. Po przejściu zaś przez filtr realizmu, weryzmu, naturalizmu, straciła sztuka ton proroczy, przylgnęła do chwili obecnej, upatrując w analizie jej przejawów swą misyę najszczytniejszą.

Mombert i Dauthendey nie są w najmniejszym stopniu proroczemi organizacyami poetyckiemi. Niech Moeller-Bruck takie rzeczy opowiada Niemcom, dla których i Mommsen i Wilhelm II i Maksymilian Harden i K. H. Wolff i tylu innych kierowników państwa „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów" są prorokami imperium światowego, a zyska z pewnością poklask entuzyastyczny.

Brak tym poetom przedewszystkiem ścisłego zetknięcia z narodem, z życiem. A bez tego niema proroków. Bo zastanówmy się: kiedy dusza jakaś tak się napina, że sięga poziomu, na którym rozpościera się wizya przyszłości? Przedewszystkiem wtedy, kiedy przyjrzawszy się dokładnie stanowi obecnemu, dostrzega konieczność zmiany na lepsze lub gorsze, poznaje ze znaków, dla oka przeciętnego niewidzialnych, że stosunki uledz muszą przeobrażeniu. Nieodzownym więc warunkiem jest niezwykle silne zespolenie ze społeczeństwem, wcielenie się niemal w jego ustrój. Takim np. był Mickiewicz. On wchłonął w siebie wszystko, co polskie, żaden rys fizyognomii narodowej nie uszedł jego uwagi, on „jeden" a „milion" narodu — to rzeczywiście było „jedno."

A Dauthendey i Mombert? Ci zupełnie przeciwnie. W ich poezyi nie przebija się ani jeden ton, ani jeden rys, któryby mógł świadczyć o współżyciu ze społeczeństwem. Oni zupełnie odwrócili się od życia, tych przejawów, które okiem fizycznem dostrzegamy. To, co oni widzą, jest umiejscowione w sferach najczystszej abstrakcyi, w krainach, w których 2+2 może być rzeczywiście: milion.

Przyjrzyjmy się ich fizyognomiom artystycznym.

Nie znam drugiego poety, któryby tak mało był wniósł wspomnień życiowych do poezyi, co Maksymilian Dauthendey. U niego aż razi zupełnem ogołoceniem ze wszystkiego, coby mogło przypominać rzeczywistość, oglądaną i wyczuwaną zmysłami. Kiedy się jego poematy czyta, zda się, że to poeta nie tego świata. Jego cała natura psychiczna składa się z czynników o odmiennej, wyjątkowej zupełnie wartości. Wzrok jego nie posiada zdolności zatrzymywania się na przedmiotach, ograniczonych trzema wymiarami. I rzecz najcharakterystyczniejsza: Dauthendey zdaje sobie dokładnie sprawę z tej nienormalności swego ustroju duchowego. Boleje nawet nad tem, że go natura uczyniła takim samotnikiem, co to myśli swe skierowywać umie tylko poprzez rzeczy przypadkowe ku zagadnieniom wiecznym.

Meine Augen voll Asche,
Meine Ohren haben die Töne verloren,
Bäume, Wind, Gestein,
Eure Sprache fällt mir nicht mehr ein.
Höre im Weltraum nur mich,
Mein wildes, hungerndes Ich! *)

Dusza Dauthendeya nie znajduje żadnego punktu stycznego z życiem rzeczywistem, nie znajduje go też z ludzkością. Jest ona, jak gdyby Zarathustra, kiedy świat opuścił i w niebotyczne, podobłoczne podążył wyże; tylko że Zarathustra wrócił następnie między ludzi, aby tu szerzyć posłannictwo nadczłowieka, a dusza Dauthendeya nawet do żadnego posłannictwa nie jest zdolna. Lecz, że człowiekowi wrodzoną jest dążność do uosobienia, więc i Dauthendey urabia sobie postaci indywidualne. Dla sfery swych wizyj ma specyalną mitologię, olbrzymów, wyposażonych właściwościami, zgoła niepodobnymi do ludzkich. Są to postacie bez krzty krwi i kości, twory limfatyczne, dziwaczne i fantastyczne, zaludniające, świat abstrakcyi, w którym króluje dusza samego poety. **)

O ile Dauthendey uosabiał zawsze organizacyę duchową o jednem i tem samem napięciu, jednym tylko kierunku i jednym kącie patrzenia na wszechświat, o tyle przeciwnie twórczość Alfreda Momberta najwidoczniejsze wskazuje ślady całej ewolucyi jego duszy, od samych zaczątków po chwilę ostatnią.

Mombert zaczął od opisywania wrażeń, przejętych ze świata zewnętrznego. Tkwił wówczas jeszcze w owym prądzie, panoszącym się w poezyi niemieckiej, którego celem było li tylko uzewnętrznianie przejawów rzeczywistych. Lecz już do tworów Momberta wdzierały się żywioły burzliwe, pierwiastki zgrozy i okropności, jakie poeta wyczuwał na widok swego otoczenia. Stąd w pierwszych poematach Momberta obok utworów rzeczywiście odźwierciadlających świat zewnętrzny, znajduje się i takie, które dają wyraz tęsknoty za czemś po za rzeczywistością istniejącem, nieznanem a drażniącem. To podrażnienie osobowości, wywołane pragnieniem odcyfrowania zagadnień, nieobjętych mózgiem ludzkim, stopniuje się odtąd w duszy Momberta, rozpala ją i rozognia, unieszczęśliwia i pozbawia wszystkich węzłów, które ją dotąd łączyły ze światem, z ludźmi. W takich to chwilach znajdował Mombert punkt oparcia w świadomości, iż pomódz mu, zrozumieć go może jedyne stworzenie na świecie — matka. W takich chwilach pisał.

Twa postać siedzi tuż przy mnie,
Słodka mateczko; głaszcząc twarz
Twego dziecka...
Pomóż matko!
Me człowieczeństwo pożera samotność!
Żre jak kwas siarkowy...

*) Oczy me są gdyby popiołem zasypane, uszy straciły wrażliwość słuchu: nie rozpoznają więcej mowy drzew, wiatru, kamienia; w wszechświecie słyszę tylko siebie samego, tylko swe dzikie, zgłodniałe ja.

**) Zjawisko analogiczne spotykamy w twórczości Boecklina, jednakowoż wynikające z przyczyn całkiem odmiennych.

Lecz były to tylko chwile... lucida intervalla, w których wogóle mógł ogarniać pamięcią coś, co bywało w rzeczywistości. Bo stale płomienne jego myśli obcowały z wszechświatem, dusza chadzała szlakiem gwiazd, szukała jaśni słonecznych, identyfikowała się z wszechprzyrodą, rozsadzała ramy życia. W takiem się napięciu podówczas znajdował, że nawet symbol śmierci rozwiewał się przed nim, malał i rozpływał. „Śmierci! — wołał wówczas — dorównywam twej genialności. Ja i Ty czerpiemy śmiałą ręką z nicości...“

I owładało nim straszne uczucie samotności, wydzielało go z wszystkiego w okół...

W głębi pokoju, w półmrocznej ciszy
Siedzę skulony...
Słyszę, jak ktoś z zewnątrz
Drabinę przystawia...
Ciemne postaci suną po niej...
Zakratowywują mi okna!

Jedyną ostoją w tem okropnem mocowaniu się wyobraźni Momberta jest poczucie siły twórczej. Sny o potędze, o tworzeniu są równoważnikiem bólu, szarpiącego jego wyobraźnię. Przeświadczenie, iż w mózgu jego pracuje siła twórcza, dla której niczem jest rzeczywistość a wszystkiem świat czarodziejski — to przeświadczenie działa nań pobudzająco.

Stan duchowy Momberta, ujawniony w „Tag um nacht“ i „Der Glühende,“ mógł być nazwany stadyum przejściowem; znajdowały się tam jeszcze pewne pozostałości z rzeczywistości, pewne związki nastroju poetycznego z życiem.

Tych pozostałości i związków jest zupełnie już pozbawiona dalsza twórczość Momberta, umiejscowiona w „Die Schöpfung“ i „Der Denker.“ Wspólnota ducha i ciała, świata wewnętrznego i zmysłowego zatraciła się do reszty. Sfera najczystszej abstrakcyi rozpościera się w jego poezyi.

Wielkie me skrzydła rozpostrzę
ponad płomienie i morza,
ponad sosen zieloności,
ponad statki i słońca,
ponad kobiety
rodzące na bladej pościeli,
ponad przestępców i sędziów;
ponad tem wszystkiem, ponad tem wszystkiem,
zaczerpnę u studni niebiańskich
napoju...

Poczucie siły, olbrzymiej, niezwyciężonej mocy włada odtąd jego istotą. Jego „stań się!“ stwarza światy; „giń!“ w perz wszystko obrócić jest zdolne. W najwyższem rozpętaniu mocy pisze:

Kiedy jeszcze nic nie było w przestworze,
Już na nim spoczęła ma silna dłoń.

Bertold Merwin.

Notatki literackie i artystyczne.

POEZYE. Eloe: „Pieśni intruza“ — „Nastroje,“ nakł. autora.

— H. Ibsen: „Brand,“ poemat dramatyczny, przek. N. M. J., skład w ks. Dembego.

POWIEŚCI. A. Suszczyńska: „Mefisto,“ nakł. ks. Sadowskiego.

— W. Berent: Fachowiec,“ wydanie drugie nakł. Gebethnera.

— J. Terpiłowska: „Przystań,“ nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Zyg. Niedźwiecki: „Lekcya życia,“ „Fraszek serya ostatnia, Kraków, nakł. autora.

— H. Sienkiewicz: „Bartek zwycięzca,“ wydanie nowe Gebethnera i Wolffa, cena 15 kop. — „Z pamiętników nauczyciela poznańskiego,“ wydanie nowe Gebethnera i Wolffa, cena 10 kop.

— El. Orzeszkowa: „Przędze,“ I część: „Z pyłów przydrożnych,“ II część „Z fantazyi“ nakł. Gebethnera i Wolffa. — „Mirtala,“ wyd. nowe Gebethnera i Wolffa. „Czciciel potęgi,“ wydanie nowe, Gebethner i Wolff.

— A. Niemojewski: „Listy człowieka szalonego,“ wyd. drugie, nakł. ks. Paprockiego.

DRAMAT I KOMEDYA. J. A. Kisielewski: „Ostatnie spotkanie,“ „Karykatury,“ komedya, skład w ks. Sadowskiego.

— M. Gorkij: „Na dnie,“ — obrazy, aktów 4, przekład A. Zelmerowicza, nakł. ks. J. B. Marchlewskiego w Monachium.

— I. J. Badowski: „Dwa śluby,“ obraz sceniczny w 3 aktach i 6 odsłonach, ks. Gebethnera i Wolffa.

— W. Orkan: „Skapany świat“, dramat w 4 aktach z epilogiem, nakł. ks. Wendego.

— St. Przybyszewski: „Śnieg,“ nakł. ks. Dembego

NAUKOWE. L. Swieszewski: „Trzy główne prądy w rozwoju nauk ekonomicznych,“ studyum ekonom. historyczne, nakł. M. Arcta.

— Dr. A. Danysz: „O wychowaniu,“ Lwów, nakł. Macierzy polskiej w ks. Wendego.

— Dr. Alf. Nossig: „Jüdische Statistik.“

— Dr. Moj. Schorr: „Żydzi w Przemyślu do końca XVIII w.,“ nakł. funduszu konkursowego.

— W. Wojciechowski: „Biuro melioracyi rolnych ich wpływ i znaczenie.“

— Ellis Ethelmer: „Skąd się wziął twój braciszek?“ podług dziełka „Baby buds,“ spolszczyła R. Centnerszwer, nakł. ks. Centnerszwera.

MEDYCYNA I HYGIENA. Dr. W. Poliński: „Fizyczna charakterystyka osób dotkniętych gruźlicą płuc“ (odbitka z pamiętnika lekarskiego), skł. w ks. Idzikowskiego. Wydanie sekcyi hygienicznej: „Hygiena sportu.“

LITERATURA. Marya Krzymuska: „Studya literackie,“ skł. w ks. Dembego.

PUBLICYSTYKA. Stary Gawędziarz: „Duchowieństwo a prasa,“ broszura.

PRZEWODNIKI. E. Grajnerta: „Artystyczno-informacyjny przewodnik po Rzymie z planem miasta,“ nakł. ks. Wendego.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH, wyd. Arcta.

— I. Moszczeńska: „Reformy w wychowaniu moralnem,“ kop 10.

— Dr. med. M. Vigtlin: „Pielęgnowanie dziecka w pierwszym roku jego życia,“ spolszczył dr. Z. Szymanowski.

— Waldemar Osterloff: „Zarys historyi i literatury niemieckiej.“

— Dr. W. Sterling: „Dziecko nerwowe.“

— Bronisława Marchlewska: „Co każdy o hygienie wiedzieć powinien.“

— A R.: Humor staropolski w poezyi XVI i XVII wieku.

— Prof. K. Martin: „Gwiazdy, ich cechy, przyroda i ruchy,“ tłom B. R.

— Jan Witowski: „Eliza Orzeszkowa“

— R. Danielewicz: „Ubezpieczenia życiowe.“

— H. Galle: „Adam Asnyk,“ szkic literacki.

— Paweł Trzciński: „Jak się oryentować na niebie,“ krótki rys topografii nieba i główniejszych gwiazdozbiorów.

POEZYE

Przybycie.

Udanym snem zmyliłam czuwającą wartę,
Przekradłam się przez skalne mej ojczyzny [góry —
A goni mię przekleństwo — dla królewskiej [córy,
Że zostawiła bramy świątyni — zawarte.

Próżno bić będą w szale o kamienne wrota,
Próżno szarpać wrzeciądze — na wiek zatrza-[śnięte:
Przed odejściem zgasiłam sama ognie święte...
Idę tam, dokąd wiedzie mię moja tęsknota.

Królowi słońca niosę dzisiaj w lennym darze
Wątłe, blade, w podziemiach hodowane kwia-[ty —
I pod stopy mu ścielę zszarzałe szkarłaty,
Co w mej mrocznej świętyni zdobiły ołtarze.

Jakim przepychem kwiatów dyszą twe ogrody!
Jak tęczowo się mienią jezior złote fale!
...A moje kwiaty bledną w słonecznym upale...
A jezioro me w górach — i czarne ma wody...

I stoję — trwożna, dzika, mąk przeczuciem [drżąca,
Pijana jeszcze wichrem gór, biegiem zdysza-[na —
I chmurnie patrzę w oczy mego pana —
I wstydzę się mych darów, szarych w blasku [słońca...

Dzień oślepia mi oczy, świętym ogniem zżarte,
Palą mię twego państwa krwią lśniące purpu-[ry —
Daj mi wrócić do domu — do ojczyzny — [w góry...
Ach prawda... znicz zgaszony już.. wrota za-[warte...

Zofia Nałkowska.

NA MARGINESIE

Komisya śledcza do spraw węglowych w Stanach Zjednoczonych po czteromiesięcznem rozpatrywaniu przyczyn długotrwałego bezrobocia w kopalniach węgla w Pensylwanii dała światu smutny obraz panujących tam stosunków w sprawozdaniu ze swych czynności.

W roku zeszłym 147,000 robotników zaprzestało pracy w kopalniach, wskutek czego 760,000 kobiet i dzieci znalazło się w nędzy. Pod wpływem prezydenta Roosevelta utworzono komisyę, która miała rozpatrzeć sprawę obustronnie i wydać sąd. Komisya składała się z siedmiu członków; w tej liczbie był jeden generał amerykański i jeden biskup katolicki. W ciągu czterech miesięcy bardzo czynnego badania, nawet w głębi kopalń, dokąd członkowie komisyi spuszczali się, aby zobaczyć naocznie warunki, w jakich pracują robotnicy, zebrała ona mnóstwo materyału, świadczącego, jak opłakanem jest życie tych biedaków, jak bezwstydnie wyzyskiwaną ich praca. Pamiętajmy, że w kopalniach pracuje bardzo wielu Polaków, że zresztą amerykańskie stosunki nietylko w Ameryce znaleźć można, ale tuż, bardzo blizko, u nas, pod ręką. Posiedzenia odbywały się publicznie i badanie świadków, których opowiadania wydobyły na światło dzienne takie rzeczy, o jakich nikomu się nie śniło. Szczególnie wstrząsające wrażenie wywarło ukazanie się starców, okaleczałych w kopalniach, wdów, których mężowie poginęli na robocie w szybie, dzieci rachitycznych. Świadectwo lekarzy wykazało, że 99% robotników w kopalniach choruje na astmę, anemię, reumatyzm i newralgię. Przy sekcyi zwłok górników płuca większości znajdują obrośnięte pyłem węglowym. Jedna z wdów, wezwanych przez komisyą, której mąż zginął w kopalni i zostawił ją z czworgiem dzieci, zeznała, że towarzystwo nietylko nie udzieliło jej żadnej pomocy, lecz kazało sobie zapłacić za węgiel i mieszkanie. Przy tej sposobności wyszło na jaw, do jakiego stopnia praca dzieci jest wyzyskiwana. W okolicach najbliższych kopalń powstało mnóstwo fabryk jedwabiu, gdzie prawie wyłącznie dziewczynki, córki górników, pracują od 10 do 12 godzin dziennie za nędzne wynagrodzenie. Podczas gdy chłopcy szli z ojcami do kopalni, dziewczyny zajęte były w fabryce. Proste słowa, spokojne opowiadanie tych świadków do głębi duszy wstrząsające robiły wrażenie. „Dziewiętnaście lat pracowałem w kopalni — mówił jeden z nich — i do ostatniej chwili mieszkałem w domu należącym do towarzystwa. Dziś mnie stamtąd wygnali za to, że trzymam z towarzyszami. Z pracy mojej utrzymywałem żonę, dwoje dzieci przybranych, sieroty, których ojciec zginął w kopalni, syna i ślepą teściową, 102-letnią staruszkę. W ciele mojem niema ani jednej całej kości. Miałem

rozbitą głowę, straciłem jedno oko i nogę, którą mam bezwładną, jak drewnianą. Wszyscy my dziś znaleźliśmy się bez dachu nad głową i bez kawałka chleba.“

Zeznania strony interesowanej dowodziły naturalnie zupełnie czego innego. Winni byli przedewszystkiem źli robotnicy, którzy wpływem swoim pociągają innych. Dobry robotnik, jak oni twierdzili, mógł zarobić prawie że tyle, co prezydent stanu Oregon, Dalawar i innych. I faktycznie jeden z robotników zeznał, że płacono mu dziennie od 5 do 10 dolarów, ale jak się później okazało, robotnicy tak wynagradzani obowiązani byli mieć 5 do 6 pomocników, których opłacali ze swych wysokich zarobków. Łatwo pojąć, jakie to dawało pole do wyzysku robotników przez robotnika jak demoralizująco musiało wpływać na stosunek jego do reszty towarzyszów. Na ogół biorąc, trzeba jednak przyznać, że przykłady, jak powyższy, nie były liczne, a natomiast solidarność wśród masy roboczej ogromna.

Amerykańskie Biuro wychowania (Bureau of Education) wydało broszurę, w której zawarło sporo spostrzeżeń, poczynionych nad dziećmi uczącemi się w szkołach. Przedewszystkiem uwaga w tej pracy była zwrócona na warunki powstrzymujące normalny rozwój dziecka w wieku szkolnym. Zbyt wielka np. ruchliwość, męczące i przewlekłe ćwiczenia cielesne powstrzymywać mają wzrost, a na mózg wpływają nader szkodliwie. Z drugiej strony trawienie oddziaływa także niepomyślnie na czynność mózgową. Ale jak tu powstrzymywać dzieci od zbytniego ruchu, który jest ich właściwością przyrodzoną? Dzieci, jak młode zwierzęta, potrzebują zabawy, biegania, w których pozbywają się nadmiaru sił, pobudzających ich ruchliwość. W wieku przedszkolnym są one bardziej niespokojne, niż później; wychowane na wsi odznaczają się większą żywością, niż dzieci miejskie. Dziewczynki i chłopcy pod tym względem nie różnią się niczem.

Wiemy wszyscy, że dzieci nie mogą usiedzieć spokojnie przez dłuższą chwilę—staranna obserwacya wykazała, że ta ciągła ruchliwość jest dla nich koniecznością fizyologiczną. Dzieci do lat 10 nie są w możności zachowania spokoju dłużej nad półtory minuty; co do tego i niektórzy dorośli przyznawali, że przymusowy dłuższy spokój sprawiał im przykrość fizyczną. Z liczby 97 dzieci i osób dorosłych, których obserwowano podczas snu, 83 zachowywało się niespokojnie. Dzieciom zdrowym trudniej wogóle utrzymać się w spokoju, niż słabym. Przyczem zauważono, że ruchliwość wzmaga się na wiosnę, w czasie niepogody i przed burzą. Wartość tych spostrzeżeń przedewszystkiem ma ważne znaczenie dla nauczycieli, którzy powinni zmieniać zajęcie, jak tylko zauważą objawy budzącego się niepokoju w klasie.

Zbytnie przeciążanie pracą umysłową powstrzymuje także wzrost dziecka i osłabia organizm. Jeden z członków biura, prowadzącego badania, wyraził się bardzo nieprzychylnie z powyższych względów o dzisiejszym systemie nauczania. „Żyjemy w czasie — mówi on — gdzie za podstawę nauczania przyjąćby należało tylko obserwacyę i doświadczenie. Tą drogą dzieci łatwiej zdobywają wiadomości, niż z książek. Miasto ze swymi parkami, muzeami, bibliotekami, sklepami, teatrami i świątyniami jest bardzo odpowiednim dla tego gruntem, gdyż dostarcza bogatego materyału...“ W Waszyngtonie pojęcia te w praktyce stosowane są szeroko: dzieci uczą się przeważnie na wycieczkach po za miasto, podczas zwiedzania gmachów i zbiorów publicznych. Przyczem dozorcy i nauczyciele baczą pilnie, ażeby ich zbytnim ruchem nie zmęczyć i uwagi nie przeciążać.

Obserwacye nad wrażliwością na ból wykazały, że dzieci rodziców bogatych są wrażliwsze na cierpienia fizyczne, niż dzieci biednych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Nowosti* donoszą, że w sferach rządowych powstał zamiar zobowiązania fabrykantów doleczenia na swój koszt robotników dotkniętych chorobami zakaźnemi.

— Powiaty Niżnonowogrodzki, Bałachański, Gorbatowski i Semenowski ogłoszono za postawione w stanie ochrony wzmocnionej od d. 14 lipca do 23 września r. b.

— *Hacofe* donosi, że syoniści w celu wykształcenia odpowiedniego zastępu mówców i mówczyń syonistycznych dla propagandy, założyli w Białymstoku instytut, na którego czele stoi p. Paperyn. Zakład ten przyjmuje młodych żydów i żydówki, o ile przy egzaminie okazują pewne uzdolnienie w tym kierunku. Stosownie do stopnia wykształcenia, kandydat wstępuje do jednej z czterech klas istniejących, w których bezpłatni nauczyciele wykładają teoryę i dzieje syonizmu, deklamacyę i ćwiczą uczniów w pisaniu referatów, przyzwyczajają ich do wygłaszania mów wobec prowizorycznych słuchaczów itd.

— *Kuryer Lwowski* donosi: Niejaki Suchanek, nauczyciel szkoły realnej we Lwowie, nie chciał przyjąć od ucznia V klasy, H., rysunku geometrycznego, twierdząc, że ktoś inny go wykonał. H. oświadczył wówczas: „Daję słowo honoru, że sam rysowałem.“ Nauczyciel S. zaśmiał się na to i rzekł: „U nas, Niemców, polskie słowo honoru nic nie znaczy.“ Wybryk ten cała klasa przyjęła szmerem, a po lekcyi uwiadomiono o słowach Suchanka nauczycieli Postla i dr. Sabata, którzy zażądali zwołania konferencyi. Dyr. Eretmann zwołał rzeczywiście konferencyę, na której Suchanka, pomimo uporu, zniewolono do odwołania tych słów wobec całej klasy. Następnie po akcie skruchy przeniesiono go do Tarnopola.

— Gazety krakowskie donoszą, że ksiądz Anioł, kapucyn, który podczas zjazdu towarzystw gimnastycznych we Lwowie odprawił nabożeństwo polowe, jako kapelan Towarzystwa krakowskiego, skazany został przez ks. kardynała Puzynę na 10 dni internowania w klasztorze za to, że nie mając specyalnego upoważnienia, przemawiał do uczestników wycieczki włościańskiej w katedrze na Wawelu. Ks. Aniołowi rozkazał równocześnie ks. biskup usunąć się od dalszego udziału w stowarzyszeniach świeckich.

— Pisma londyńskie donoszą, że w Chinach szerzy się wielka klęska głodowa. Komisya, wydelegowana przez rząd do zbadania istotnego stanu, stwierdziła, że ludzie sprzedają się do niewoli, ażeby uniknąć śmierci głodowej. W Wu-Czang utworzyło się targowisko niewolników, pośród których przeważają dzieci. W Suai-Ping skazano na śmierć 1,500 więźniów, nie mogąc ich wyżywić. Ścinano partyami, po 100 odrazu. Ludność, przyglądająca się temu aktowi, rzuciła się na ciepłe jeszcze zwłoki, ażeby je upiec i pożreć. Kaci sprzedawali mięso straconych.

Z Poznańskiego. Skutkiem nacisku z Berlina, w katedrze gnieźnieńskiej w roku bieżącym po raz pierwszy od roku 1410 nie odśpiewano *Te Deum Laudamus* na podziękowanie Bogu za zwycięztwo pod Grunwaldem.

— Przy udziale wszystkich wielkich narodowo-niemieckich stowarzyszeń utworzyła się w Berlinie organizacya centralna dla kresów wschodnich, mająca na celu popieranie wewnętrznej kolonizacyi, tudzież dostarczanie niemieckich robotników rolnych, rzemieślników i kupców.

Wiadomości naukowe. Wydano i zatwierdzono przepisy dla organizacyi komitetu oceny książek i odczytów publicznych w języku polskim, przeznaczonych dla użytku w zakładach naukowych warszawskiego okręgu naukowego. Według tych przepisów, komitet składa się z prezesa, pięciu członków stałych (2 nauczycieli religii: prawosławnej i rzymsko-katolickiej, profesora uniwersytetu, nauczyciela języka polskiego jednego z gimnazyów warszawskich) i sekretarza, który ma prowadzić kancelaryę komitetu. Prezesa, członków komitetu i sekretarza mianuje kurator okręgu. W miarę potrzeby prezes komitetu zaprasza do rozpatrzenia nadsyłanych książek i inne osoby kompetentne z personelu okręgu naukowego, którym może być polecone także przejrzenie nadsyłanych do kwalifikacyi i oceny władzy okręgowej odczytów publicznych w języku polskim. Nadsyłane do zarządu okręgu książki polskie i odczyty w języku polskim przekazuje się prezesowi komitetu, który rozdziela je pomiędzy członków komitetu i wybrane przez niego osoby z personelu naukowego, przyczem każda książka powinna być przeczytana najmniej przez dwie osoby. Oceniający książki, wyrażają o każdej z nich na piśmie krótko motywowane zdania o zaletach i brakach i o zdatności lub niezdatności do użytku; opinie recenzentów odczytywane będą na posiedzeniach komitetu, odbywających się w końcu każdego miesiąca, uchwały — wnoszone do protokółu. Postanowienie komitetu o książkach przedstawiane są do uwzględniania rady opiekuńczej. Wynagrodzenie recenzentów obliczane będzie według ilości przeczytanych przez nich arkuszy druku i wypłacane w maju i w grudniu, według obrachunku, dokonanego na posiedzeniu komitetu i zatwierdzonego przez kuratora okręgu. W końcu roku prezes komitetu przedstawia kuratorowi sprawozdanie z działalności.

— Zjazd chirurgów polskich w Krakowie ukończył swe prace; następny, czternasty z kolei, odbędzie się 1904 roku we Lwowie.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora okręgu naukowego warszawskiego, iż od cudzoziemców, udzielających lekcyj języków w domach prywatnych, należy wymagać jedynie świadectwa o ukończeniu zakładu naukowego zagranicznego, dającego prawo do stopnia nauczyciela lub nauczycielki domowej; od osób zaś, pragnących zajmować się wyłącznie dozorem dzieci lub konwersacyą w języku cudzoziemskim — świadectwa o moralnem prowadzeniu się.

— W Łomży urządzono kursa krótkoterminowe, pedagogiczne dla nauczycieli i nauczycielek szkół ludowych. Wykłady tego rodzaju urządzane będą corocznie dla każdej gubernii; na ten cel ministeryum wyznaczać będzie 4,000 rb. rocznie.

— Do instytutu komunikacyj w Petersburgu wniesiono 850 podań na 100 miejsc wolnych.

— Postanowiono wprowadzić wykłady bakteryologii jako przedmiotu obowiązującego dla studentów III kursu wydziału lekarskiego.

— Ministeryum oświaty, uznając za niepożądane dopuszczenie wychowańców szkół handlowych do uniwersytetu, ustanowiło przepis ogólny, że kończący szkołę handlową mogą być przyjmowani w poczet studentów nie inaczej, jak po zdaniu celującego egzaminu ze wszystkich przedmiotów kursu gimnazyalnego.

— Ministeryum oświaty upoważnione zostało do udzielania jednorazowych i stałych zasiłków na urządzanie i utrzymywanie przy szkołach miejskich specyalnych klas robót ręcznych i oddziałów rzemieślniczych. Wysokość tych zasiłków oznaczono na 600 rb. rocznie dla jednej specyalności i 700 rb. dla dwóch, a nadto miasta, ziemstwa lub osoby prywatne obowiązane będą dodawać po 300 rb. rocznie na każdą klasę. Oddziały rzemieślnicze otrzymywać będą po 1,500 rb. rocznie na jeden zawód i 1,900 na dwa, przy zasiłku miejscowym 600 rb. na każdy oddział.

— Zatwierdzoną została ustawa 7-klasowej szkoły handlowej w Kielcach, która ma być otworzona w połowie wrześnie r. b.

— Z powodu braku nauczycieli do wykładu nauk przyrodniczych w szkołach średnich, ministeryum oświaty pozwoliło zajmować te stanowiska wychowańcom instytutów rolniczo-leśnych w Nowej Aleksandryi i w Petersburgu po zdaniu egzaminu na stopień nauczyciela gimnazyalnego, równoznaczny dyplomowi uniwersyteckiemu.

— W celu ustanowienia jednakowego porządku przy wydawaniu pozwoleń na otwieranie szkół rzemieślniczych, zawodowych, kursów i klas, męzkich i żeńskich, ustanowioną została osobna komisya, złożona z przedstawicieli ministeryów. Do czasu jednak opracowania odpowiedniego prawa, pozwolenia na otwieranie szkół fachowych wydawać będą kuratorowie okręgu naukowego łącznie z gubernatorem miejscowym

— Rektor politechniki lwowskiej zawiadamia, że na mocy rozporządzenia austryackiego ministra oświaty, począwszy od roku bieżącego, uczniowie szkoły przemysłowej w Łodzi nie będą przyjmowani na słuchaczów zwyczajnych.

— Rudolf Dacret, b. prezydent sądu handlowego w Wiedniu, zapisał cały swój majątek, wynoszący około 200,000 koron, uniwersytetowi miejscowemu na utworzenie stypendyów dla ubogich słuchaczów prawa.

Literatura i prasa. Miłośnicy sceny ogłosili konkurs na sztukę dramatyczną, najmniej 3-aktową, która powinna wypełnić cały wieczór. Nagrody dwie: 500 200 rb. Termin do 1 września r. b.

Ze sztuki. Wydział hygieny szpitali i przytułków Tow. hygienicznego ogłosił za pośrednictwem delegacyi architektonicznej konkurs na projekt szpitala wiejskiego. Nagrody dwie: 125 i 75 rb. Projekty powinny być nadesłane najpóźniej do d. 1 grudnia r. b. do kancelaryi Towarzystwa (Warszawa Krakowskie-Przedmieście 66). Program i warunki konkursu wydaje bezpłatnie biuro redakcyi *Przeglądu Technicznego*, oraz kancelarya warszawskiego Tow. hygienicznego.

Sprawy ekonomiczne. *Torg.-prom. gaz.* donosi: „Misteryum rolnictwa i dóbr państwa, zajęte obecnie sprawą udzielania w szerszym zakresie obstalunków rządowych drobnym przemysłowcom włościańskim, porozumiało się w tej sprawie z odpowiednimi urzędami. Dzięki temu pośrednictwu zarząd artyleryi dał obstalunek na 55,000 skrzyń do nabojów włościanom gub. Moskiewskiej, Niżnonowogrodzkiej i Permskiej. Włościanie saratowscy i ufańscy otrzymali zamówienia od intendentury wojskowej na uprząż końską. Ministeryum marynarki zamówiło trykotaże w gub. Moskiewskiej. Ministeryum pragnie, aby do wyrobów tego przemysłu brano wyłącznie własne materyały surowe. Kraj północno-zachodni, Litwa i Królestwo Polskie dotychczas nie korzystały z czyjejbądź pomocy w tym względzie, skutkiem czego rzeczony przemysł zaczął tam zupełnie upadać. Zwróciwszy na to uwagę ministeryum rolnictwa przedsiewzięło środki ku zorganizowaniu odpowiednich przędzalni w kraju północno-zachodnim, na Litwie i w Królestwie Polskiem, pod warunkiem, aby dostarczały wełny guberniom centralnym. Troszcząc się o rozszerzenie takich obstalunków, ministeryum podjęło się pośrednictwa pomiędzy urzędami państwowymi a drobnym przemysłem włościańskim.“

— Wydano rozporządzenie, aby tym przedsiebiorcom robót kolejowych, na których kiedykolwiek wpłynęły skargi robotników o niewypłacenie zarobków, na przyszłość nie powierzano żadnych robót. Jeśli zaś mimo to staną do konkurencyi, to każdy świadomy rzeczy winien zawiadomić o ich przeszłej niewypłacalności, a choćby nawet zadeklarowali niższe ceny, usunięci będą od współzawodnictwa.

— W sierpniu i wrześniu odbędzie się w Londynie wystawa powszechna produktów żywności.

— Według sprawozdania brytyjskiego instytutu geologicznego, na całej kuli ziemskiej wydobywa się corocznie z kopalni złota 391,025 kilogramów, srebra 5,205,899 klg., miedzi 553,709 tonn, żelaza 39,596,729 tonn, nafty 19,940,447 tonn, ołowiu 957,708 tonn, soli 12,864,589 tonn, cyny 88,814 tonn, cynku 465,846 tonn, węgli 789,128,467 tonn. Połowa ogólnej produkcyi złota przypada na kolonie Wielkiej Brytanii, jedna czwarta na Stany Zjednoczone Ameryki. Produkcyą żelaza przewyższa Ameryka wszystkie inne części świata, naftą zaś — Rosya. Węgli dobywa się w Anglii i Ameryce $^{2}/_{3}$ części ogólnej produkcyi; Niemcy zajmują piąte miejsce. W kopalniach węgli zajętych jest 4,700,973 robotników. Z 1,000 górników pada corocznie ofiarą katastrof średnio: w Anglii 2,55, w Niemczech 2,19 i w Austryi 1,84.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj wydało rozporządzenie, że na żądanie spóźnionych pasażerów, zawiadowcy stacyj wydawać mogą ustne pozwolenia na zajęcie miejsc w pociągu; piśmienne zaś wydawane być winny, w miarę możności, czyli czasu wolnego od pilniejszych zajęć służbowych.

Katastrofy. Wezuwiusz objawia czynność wzmożoną — po wybuchu kamieni i popiołu nastąpił wylew lawy w kierunku Pompei; wybuchy trwają w dalszym ciągu.

— Z Syrakuz donoszą o silnem trzęsieniu ziemi d. 21 b. m. w nocy.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Іюля 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.